



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

KRÓLEWSKIE SWATY.

(„Le mariage d'un Roi” par Paul de Raynal. Paris 1887).

We wstępie do *Męczennicy na tronie* Kraszewski słuszną robi uwagę, iż postać Maryi Leszczyńskiej nadto była obcą społecznemu ustrojowi, a raczej społecznemu rozstrojowi, we Francyi, aby jej charakter mógł być we właściwy sposób zrozumiany, jej cnoty ocenione, a nawet poznane. Typ to cichej, pobożnej, zadomowionej matrony polskiej, pełnej powagi i skromności, a w danym razie heroizmu i poświęcenia. Nam ona przedstawia rysy znajome i sympatyczne; dla epoki następującej bezpośrednio po Regencyi była obcem zjawiskiem, wyjątkiem, nawet wyrzutem. Ludzie i społeczności wyuzdane i zepsute, nie lubią mieć przed sobą uosobionego niejako sumienia. Nie mogąc tedy nieposzlakowanej cnoty dobrej królowej zaszczyć, kronikarze i dziejopisarze, gromadzący dworskie odgłosy i doraźne sądy, zawyrokowali, iż małżonka Ludwika XV musiała być pozbawioną wdzięków i wyższego rozumu, skoro nie potrafiła młodego króla przykuć do swej osoby miłością. Wyswobodzając się atoli prawda, nawet z najgrubszej i umyślnej pomroki, tymrazem wcześniej rozpoczęła dzieło odwetu i sprawiedliwości. Przybywa wciąż wiadomości i szczegółów, głosów i odgłosów, przyznających, nietylko wielką cnotę, lecz i istotną wyższość, Maryi Leszczyńskiej. Jej własna korespondencya przyczyniła się niemało do zaliczenia jej w poczet najwyższalceńszych kobiet danej epoki, w tej chwili zaś prąd studyów historycznych z upodobaniem ku niej się zwraca, bądź patryotycznym uczuciem względem pani, której

ślubom królewskim Francya zawdzięcza choć w drobnej części utraconą dziś, a tak krwawo oplakaną Lotaryngią, bądź potrzebą zaczerpnięcia z przeszłości pięknych wzorów, skoro terazniejszość taka smutna i beznadziejna, bądź narzeczcie skutkiem wyłaniających się wciąż dokumentów, które objaśniają nam powody tak smutnego i cierniowego dla córki Leszczyńskiego związku.

Na wiosnę roku bieżącego muzeum Carnevalet w Paryżu nabyło, za względnie niską sumę, spory zasób papierów i druków odnoszących się do zaślubin Ludwika XV. Praca zaś p. de Raynal, której tytuł wypisaliśmy powyżej, opiera się przeważnie na t. zw. *papiers de Du Bourg*, złożonych w bibliotece paryzkiego arsenału; tych zaś nasz powieściopisarz znać chyba nie mógł. Inaczej byłby niezawodnie wspomniał gubernatora Alzacyi, późniejszego marszałka Francyi, hr. Leonora Du Bourg, najbliższego przyjaciela i powiernika króla Stanisława. Jeśli ten ostatni, przyjmując gościnność Francyi, obrał za mieszkanie ustronny i na pół zruinowany zamek w Wissenburgu, znieśliła go do tego przeważnie obecność hrabiego Du Bourg, i przyjaźń, która się dopiero śmiercią rozerwać miała, a którą król wygnaniec nazywał „osłodą dni swoich“. Poufna korespondencya, która się z onego stosunku wywiązała, stanowi dla nas główną niniejszej książki przynętę i wartość. Mniej nas obchodzą pokątne intrygi dworskie, zazdrością Kondesuzów i Książąt Orleańskich podniecane, które i autor *Męczennicy na tronie* streścił dość wiernie, a które miały stanowczo wpłynąć na losy Maryi Leszczyńskiej.

Pierwszy minister młodziuchnego Ludwika XV-go, lękając się, aby wrazie bezdzietnego zejścia monarchy, znenawidzony Książę Orleański, na tron Francyi nie wstąpił, postanowił coprędziej zapewnić dynastją i ożenić króla. Największą trudność przedstawiała obecność małej infantki, w czwartym roku życia zaręczonej Lu-

dwikowi i sprowadzonej do Paryża. Atoli niewiele się troszcząc o następstwa kroku mogącego, słuszną urazę Hiszpanii długie wywołać wojny rządzący Francją politycy, (a rządzące politykami dworskie intrygi, bodaj raczej intrygantki), nie namyślając się, przysposobioną królewską oblubienicę odstawili do pirenejkiej granicy. Szczęściem, konieczne względy przymierzy odpornych zażegnały burzę, zkadinaż zaś wdanie się Papieża Benedykta XIII, który, zalekniony o pokój świata, stanął, jako pośrednik pokoju i starał się ułagodzić zmartwienie i urazę króla hiszpańskiego, zapobiegło i wtedy krwawym następstwom tak niewłaściwego ze strony Francyi postępowania.

Ale już wprzód, zanim przysposobiona oblubienica królewska odesłana została, stronictwo rozstrzygające o nowych dla swego pana związkach żywą rozwinęło czynność. Sporządzono ni mniej ni więcej tylko spis stu księżniczek mogących w danym razie zastąpić infantkę. Książę Bourbon odrazu wykreślił ośmdziesiąt trzy, pozostało tedy siedemnaście kandydatek. Marya Leszczyńska zrazu znajdowała się na liście wykreślonych, wśród zastępu zbyt młodych, za starych lub nie dość wysoko urodzonych dla władcy Francyi dziewic. W istocie, miała już rok dwudziesty drugi, a zatem o sześć lat była starszą od Ludwika XV. Przy jej nazwisku, jak przy wszystkich innych, króciuchne znajdowało się objaśnienie: „Marya Leszczyńska, córka Króla Polskiego Stanisława, lat 21. Rodzice tej księżniczki gotowiby stale we Francyi zamieszkać.” Zaczęły się tedy rokowania o związek z jedną z utrzymanych kandydatek, ale napróżno. Ta nie dawała ręką zdrowia, owej przedczesna groziła otyłość; tu różnica wyznania, tam polityczne względy stawały nieuchylone przeszłocie.

Autor wiedzie nas przez tę sieć sprzecznych intryg, rozwiązujących się w końcu na korzyść

córy Leszczyńskiego. Skromne jej wychowanie, skromniejsze, bo wygnańcze, stanowisko, zatarła, jak się zdawało, osobistość; wszystko to roko- wało twórcom jej wyniesienia potulne w ich rę- ku narzędzie. Ten-to wzgląd i otucha przeważ- nie skierowały wybór Maryi Leszczyńskiej. Zra- zu była mowa o wyswataniu jej raczej z pierw- szym ministrem Francji. Ato! margrabina de Prie, głośna faworyta Księcia de Bourbon, zręcznie podstawiła młodzieńczego króla w miejscu wła- snego wielbiciela, i ostatecznie o losach polskiej księżniczki rozstrzygnęła.

Wygnańcy bynajmniej się nie spodziewali tak świetnej dla jedynaczki przyszłości. Pan de Ray- nal przytacza tu jedyny pewny opis sposobu, w jaki pobożna królewska rodzina przyjęła goń- ców pomyślniej wieści. Księżniczka znajdowała się na pokojach matki, gdy nagle wszedł Lesz- czyński z listem w ręku: „Padnijmy na kolana, i dziękujmy Bogu”, — rzekł do pochyłonych nad robotą niewiast.

— Czyż wracasz ojcze na tron polski? — spy- tała córka.

— Nie, moje dziecię, ale ty na tron francuzki wstępujesz.

Po pierwszych dniach radosnego wzruszenia no- we a świetne widoki królewskiego związku wyda- niły jeszcze bardziej dotkliwą biedę wygnańczego dworu. Już dla utrzymania rodziny swej i oto- czenia na przyzwoitej stopie król Stanisław za- stawił był wszystkie swe kosztowności we Frank- furcie. Wierny hrabia Du Bourg wyrzucił przy- jacielowi brak zaufania, w gorącej uczynności swojej, wskutek czego Leszczyński, który dotąd tał przed najbliższymi dotkliwy niedostatek, przyznaje, iż mu brak dość znacznej summy dla skutecznego zamierzonego wykupu klejnotów rodzinnych, a termin już upływa i kłopotów przy- będzie, jeśli się na czas uiszczyć frankfurckiemu lichwiarzowi nie zdoła. Komendant Strasburga i marszałek Francji bez trudności znalazł po- trzebną kwotę; szła mu wyrazy wdzięczności król-wygnańiec usilnie go zaprasza do Wissen- burga: „Głęboko mnie zniewala udział, jaki bierzesz w tem naszym wielkiem powodzeniu. Ra- dość nam serce rozpięra, musimy się z tobą w- dzieć: przyjedź więc w niedzielę lub poniedziałek.“

Bolesnie dziś czyta się te wyrazy ślepej ra- dości, nieprzeczuwającej żadnego z kółców cier- nistej drogi otwierającej się dla *mężennicy na tronie*. Ileż-to razy związki witane z upojeniem szczęścia, nie zdołały go przynieść! Jakże często na, świetniejsze widoki okazują się najzupełniej za- wodnemi!

A niemal na wstępie zazdrosne wpływy usi- lują zniweczyć w zawiązku rozpoczęte układy. Potajemne a bezimienne ostrzeżenia nadchodzą do Paryża, głosząc na przemian, iż Marya Le- szczyńska cierpi na bezwład jednej ręki, że mie- wa napady epileptyczne, że zdrowie jej bynaj- mniej nie jest tak czerstwem, jak mniemano. Przy- szła królowa bodaj od dotkliwego upokorzenia rozpoczyna nowe życie, koniecznością dostarcze- nia świadectw lekarskich, w szczegółowym do- kumencie, złożonym w narodowym archiwum i przez trzech doktorów podpisanym.

Nareszcie d. 27 Maja 1725 r., usunięcie ostat- nich trudności pozwoliło ubita sprawę ogłosić światu. Już uprzednio, mimo tajemnicy, którą otaczano swaty królewskie, domyślano się po- wszechnie ich kierunku. Niepewność wyradzała zakłady, jak dziś zwycięstwo wyścigowego konia. Ten zapowiadał wygraną lotaryńskiej księżniczki, tamten angielskiej lub portugalskiej królowy. Jeden z pisarzy współczesnych, dowiedziawszy się o ostatecznym układów wyniku, zapisuje fi- lozoficznie: — „Trzeba nam tedy zgodzić się na Polkę, i mieć królową, której miano kończy się na *ski!*” Wogóle, zdaje się, iż nowym poddanym nie uśmiechał się wcale związek, który żadnej politycznej korzyści nie przynosił Francji: ow- szem, wystawiał ją na niebezpieczną wspólność interesów z królem pozbawionym tronu i korony, i płynących ztąd możliwych rewindykacji. Stron- nictwo dworskie, które cały ten mariaż zgotowa- ło i obmyśliło, zdążyło teraz do jednego tylko celu: chciało jaknajprędzej doprowadzić sprawę do pomyślnego końca. Odrazu też zażądano wia-

domości: gdzie, kiedy i jak ślubny odbędzie się obrzęd; pisano o wskazówki potrzebne dla śpie- sznego wygotowania wyprawy ślubnej, domaga- no się dokładnego rysunku herbów Leszczyńskich, które miały być odmalowane na karetach dwor- skich przyszej monarchini Francji. Z miarami dla krawców i szewców zachodziły snadż pewne trudności, skoro officialista dworski, przesyła- jąc rękawiczki i długość spódnicy księżniczki, tłómaczy się, iż trzewików paradnych nie dołą- cza, ponieważ Marya takowych tylko do tańca używa, i to źle zrobionych, a więc nienadających się na model.

(Dokończenie nastąpi).

POGA WĘDKA

Gwałtu, jakże pusto w Warszawie!... zdaje mi się, że gdybym zaczął wołać po ulicach: „hop- hop!” to echo odpowiadałoby w opróżnionych sa- lonach i budoarach, z których piękne mieszkanki fruwały pod cieniste sklepienia lasów, lasków, werend, parasolek i pasterek słomkowych z o- gromnem rondem.

Płec piękna zredukowała się ilościowo, nie ja- kościowo, do *minimum* w syrenim grodzie, a za- płcią piękną pogoniła druga: i oto zostaliśmy osa- motnieni, opuszczeni, my, słomiani wdowcy i wdo- wy, my niewolnicy bruku, którym patronować po- winni w ogórkowym sezonie trzej biblijni mło- dzieńcy w piecu gorejącym.

W Warszawie niema dziś „nikogo” z tych, co reprezentują elegancją, wykwinną, modną War- szawę, Warszawę salonów, Warszawę szykowną i uśmiechniętą, pachnącą Jockey-clubem i Lys de Cachemir, — pozostał tylko kwasieć się razem z ogórkami przeciętny Warszawianin, któremu wszystko jedno, czy praży, czy mrozi, bo on z dnia na dzień taczkę swoją wozi, chodzi rano do biura, wieczorem w Aleje, dzień cały stoi w sklepie, lub ślęczy za biurkiem w kantorze.

Myslałem, że się trochę odświeżę, przewietrze, odetchnę wonią lasów i łąk skoszonych: więc w zeszłym tygodniu uciekłem i ja z Warszawy, pod pretekstem zwiedzenia dwóch nowych linii kolejowych między Siedlcami a Małkinią i mię- dzy Brześciem a Chełmem.

Wsiadłem do wagonu i pojechałem.

Dwie doby w drodze, dwie doby w puzderku zamkniętem, dwie doby drzemki przerywanej świstem lokomotywy i odgłosem dzwonka na sta- cyach: oto odysseja mojej wycieczki. Przetoczy- łem się tam i napowrót po nowych, gładziutkich szynach, obejrzałem wszystkie dworce drewniane z okrągłaków i murowane z polonej cęgły, omal, że z nudów nie przeliczyłem wszystkich domków dróżniczych i słupów telegraficznych przy plancie kolejowym, i wróciłem do Warszawy z tem prze- konaniem, że nowe tory niezawsze są zajmujące, i że jeżeli się nie jest workiem zboża, głową cukru, lub opasowym wołem, można się na śmierć zazięwać między Siedlcami a Małkinią taksamo, jak między Brześciem a Chełmem.

Obie nowe linie mają wszelako główne znacze- nie strategiczne, a że takimi liniami nie jeździ się, jak wiadomo, dla przyjemności w warunkach normalnych, zatem nie mogą mieć pretensji do losu, iż mojej wycieczki nie urozmacił niczem szczególniejszem i bardziej uwagi godnem.

Taka parodniowa mitrega czasu, sił, humoru i pieniędzy na tyle przynajmniej dobrego, że się potem Warszawa wydaje, pomimo sezonowych nu- dów, i bardziej zajmującą i przyjemniejszą, niż nią jest rzeczywistość.

Nic dziwnego, iż skutkiem reakcji wydał mi się p. José Brindis, murzyn artysta, grający na skrzypcach w Teatrze Letnim, bardzo ciekawym okazem muzykanta, na którego w normalnych warunkach nie byłbym może okiem rzucił podczas koncertów zimowego sezonu.

P. Brindis tylko w ogórkowej porze powinien się popisować po większych miastach, i to wtedy, gdy niema w nich muzykalnej publiczności, a przy-

sięli krytycy bawią na urlopie; jedyną oryginal- nością tego artysty, który podobno kończył pod kierunkiem Allard'a studia w konserwatorium paryzkim, jest jego... kolor. Czarny, jak pieprz, i czarno ubrany, wygląda jak sylwetka tuszem malowana, biela się na nim tylko białka, gdy wdzięcznym spojrzeniem spogląda na zachwycony paradyz, tylko zęby, gdy się z grymasem niepo- dobnym do opisania uśmiecha do publiczności i tylko gors wykrochmalony, jak blacha.

Co do gry jego nie jest ona ani białą, ani czar- ną; jest nakrapiana, jeżeli można użyć takiego porównania. Niby to wirtuozowstwo, a niby par- factwo, niby wysoka technika, a niby nieudol- ność.

Zdziwiłem się, usłyszawszy go na scenie Tea- tru Letniego, w którym grywa przecież tak czę- sto... Barcewicz, a który powinien być tylko areną popisów dla prawdziwych artystów, nie dla chcących zdobywać sobie oklaski sztuczkami, nie sztuką w poważnem jej znaczeniu.

Śpiewa obecnie na tej scenie trójca zagranicz- nych gości w operze, zdekompletowanej, jak zwy- kle o tej porze, urlopami: tenor Hiszpan p. Aram- buro, bas Włoch p. Ercolani i primadona p. An- geloni.

Z całej trójcy artystycznej p. Aramburo należy do dojrzałych śpiewaków, głos posiada ogromnej siły i niepospolitego brzmienia z odcieniem ba- rytonowym; kilka lat wycoczywał poza sceną, na którą wrócił obecnie po koncertowych popisach za Oceanem, więc trudno mu wdrożyć się znów w partycje dawniej śpiewane. Fantastyk z tego tenora: na próbie śpiewa znakomicie, zachwyca wszystkich; drugiego dnia zrywa przedstawienie, bo się nie czuje dysponowanym, nie dowierza sobie i swemu głosowi. Czasem najwyższe tony atakuje z brawurą nadzwyczajną i wyrzuca ich z pełnej piersi całą kaskadą, to znów daje kiksa na średniej nucie i oszczędza się, jakgdyby mu żal było każdego oddechu głębszego. Gdy bywa dobrze usposobionym, może porwać słuchacza; gdy jest niedysponowanym, gotów zniciępliwić swoim śpiewem najpobłażliwszą publiczność. Od przy- padku zależy powodzenie każdego razu. Czasem publiczność rozkoszuje się głosem i sztuką boha- terskiego tenora, jakich niewiele słyszała na naszej scenie, a czasem ma ochotę sykać; ale p. Aramburo instynktownie musi przeczuwać to nie- bezpieczeństwo, bo wtedy wyrzuca z piersi kilka tonów tak pięknych, czystych i silnych, że roz- zbraja malkontentów w całej sali.

P. Ercolani, podobno hrabia, nie dorównywa pod względem głosu i metody w śpiewie naszemu Seidemanowi, niekiedy tremoluje, ale za to gra, jak skończony aktor; takiego Mefista zwinnego, demonicznego, z humorem i grozą zarazem, gięt- kiego, jak toledańska szpada, którą nosi przy boku, nie widziano jeszcze na naszej scenie, a chyba nie na wielu zagranicznych znajdzie dzisiaj mogący mu dorównać.

Opera zajmuje też w sezonie bieżącym naj- więcej publiczność warszawską.

W komedji debiuty i wznowienia, albo nowa- lijki, jak na przednowku, nie zbyt plenne i trwa- łe. W repertoarze urodziła się dotąd jedna tyl- ko oryginalna „Panna,” literacka córka p. Zyg- munta Przybylskiego, ale córka męskiego rodzaju, albowiem tą *panną* był właśnie *panicz*, przeży- wany tak żartobliwie przez przyjaciół i znajo- mych z powodu swej panińskiej wstydlivosti i zbyt skromnego usposobienia.

„Panna” wychodzi w końcu za mąż, za wdowę i sztuka się kończy; ta mieszanina rodzajów nie wyszła na korzyść komedji, która z repertoaru bardzo rychło przeszła do biblioteki.

Owiele szczęśliwszy żywot rozpoczął w tea- trzku na Nowym Świecie „Florek” pp. Abra- hamowicza i Ruskowskiego; jest to bohater trzyaktowej krotchwili, którą znana autorska spółka we Lwowie napisała jednym piórem a dwiema rękami, czy też jedną ręką a dwoma pió- rami.

Miękkiego serca komernik jest tu główną po- stacią; dobroćliwość przeszkadza mu pełnić nale- życie obowiązki swego przykrego zawodu i wpro- wadza go w pocieszne kollizye, które autorowie z wielkim humorem wyzyskali w swej sztuce.

Ta „miękość“ bohaterów w nowościach scenicznych i belletrystycznych bieżącej doby jest właściwością sezonu; przy takich podzwrotnikowych upałach wszystko topnieje, traci energią i słabnie, na siłach fizycznych zarówno, jak moralnych.

Słabnie też twórczość oryginalna; znać to nawet w repertoarze ogródkowym, w którym główną rolę odgrywają przeróbki z powieści Kraszewskiego: „Ulana“, „Budnik“, „Jasełka“, a obecnie „Pan Zagłoba“ z „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza.

Nie lubię przeróbek; przypominają mi one zawsze ową anegdotkę o chłopie, który kazał sukmanę tak długo przerabiać i przykrawać na kurtę, kamizelę i t. p., aż mu w końcu materiału tylko na czapkę starczyło. Otóż te udratyzowane powieści najczęściej są czapką, pozostała z całej sukmany po przerobieniu.

Ze względu wszelako na ogródkowe sceny i publiczność lepsze to, aniżeli wprowadzanie do repertoaru tłustych fars francuzkich lub bezmyślnych operetek, działających tylko na zmysły słuchaczy.

Zastrzegam wyjątek dla „Błazna narodowego“, którego p. Puchniewski wystawił z wielką paradą w Belle-Vue, z przepysznymi kostyumami i światłem elektrycznym. Muzyka Millöckera z „nad modrego Dunaju“ ma prawdziwie artystyczną wartość natchnienia i opracowania.

Chociaż to będzie przejście naciągnięte, przenoszę się z ogródków, gdzie kwitnie sztuka w inspektach do sadów, w których rumienić się zaczynają jabłonie i śliwy, a czynię to z powodu spółki owocowej, o której projekcie wspominałem przed paru miesiącami, a o której urzeczywistnieniu mam dziś kronikarski obowiązek słów kilka powiedzieć.

Z początku chciano przedsiębiorstwo skupowania owoców i wydzierżawiania sadów rozwinąć na szerszą skalę; obliczano, że bez 20,000 rs. zakładowego kapitału nie można przystąpić do interesu; dzisiaj wszelako zredukowano tę sumę do czwartej części i po załatwieniu pewnych prawnych formalności spółka uważać się będzie za zawiązaną i rozpocznie jeszcze tej jesieni swoją działalność.

Jako amator dobrych owoców, życzę jej lepszego powodzenia, niż je miały dotąd inne przedsiębiorstwa udziałowe tego rodzaju, a zwłaszcza Muzeum pszczolnicze, które miało wypłynąć na miodzie, a potknęło się podobno o pierniki.

Byłaby szkoda i wstyd, gdyby instytucja tak sympatyczna i tak słodka miała zakończyć swój żywot gorzkim wspomnieniem.

Ze sprawozdania „Towarzystwa opieki nad ubogimi matkami oraz ich dziećmi“ (ufl... stanowczo tytuł ten jest za długim na takie upały) przekonywam się, iż z dzieci nowonarodzonych w zakładzie, 74 oddano na wieś, 15 matkom z pomocą, ale 75 powędrowało w świat bez dalszej opieki i pomocy.

Tych siedmdziesiąt pięć niewinnych ofiar budzi we mnie największe współczucie i obawę. Co z nimi los pocznie?... wychowa je na bruku, w rynsztokach, w kurzu i błocie, wydeptanem przez ich matki i ojców, zagłodzi, wygubi chorobami, czy też powiększy niemi proletaryat z zarodkiem fizycznego i moralnego zepsucia od dzieciństwa?...

Zapytajcie się: co z nimi będzie, a wówczas nasze serca same zapiszą was na listę członków Towarzystwa i dopilnują opłacania składek, aby z nich instytucja miała fundusz dostateczny na zapomogi, którymi wspierać będzie dzieci biednych matek wypuszczonych z zakładu.

Czyjaś poczciwa myśl troszczy się o założenie Kasy przezorności dla służ w Warszawie; demoralizacja w tej sferze najwięcej ofiar wybiera. Możeby upadek wielu powstrzymała nadzieja zapewnienia sobie bytu.

Niech przyjdzie do skutku taka instytucja: będziemy ją wspierali, nieprawdaż?... my chlebowodawcy, którzy na umoralnieniu służ naszych podwójnie skorzystać możemy.

Kwestya służących przypomina mi, przez asso-

cyacją myśli, pożar przy ulicy Złotej i Marszałkowskiej, który w zeszłym tygodniu nawiedził dom, gdzie znajdowało się biuro kontroli książeczek służbowych naszych Kaś, Antosiek, Janów i Pawłów. Przed niebezpieczeństwem grożącym od dachu chciano uratować archiwum, musiano w pośpiechu wszystkie akta zgarnąć na kupę, skutkiem czego powstało takie chaotyczne zamieszanie w papierach, iż przez kilka tygodni trzeba będzie teraz porządkować to, czego się płomień szczęśliwie nie tknął.

A mógł być całą kamienicę od góry do dołu wypalić, bo na pryncypalnej ulicy, w pobliżu kraków wodociągowych ratunek był utrudniony niezmiernie przez brak wody—*come sempre*. Mniejsza o to, że nie mamy pić czego, że nie mamy się w czym umyć, że nie mamy czym skrapiać ulic; ale miejmy przynajmniej w wyjątkowych wypadkach gasić czemkolwiek płomień na naszych dachach.

Cierpliwości!... wszystko to będzie. Oto p. Lindley przed kilku dniami bawił znowu w Warszawie, podpisał nowy kontrakt na półzwarta roku, jako główny inżynier wodociągów z roczną płacą 12,680 rs. i zastępstwem w osobie p. Köhmana, pobierającego tylko połowę tej summy, i odjechał znowu do Frankfurtu nad Menem. Woda będzie, nie ucieknie: przecież mamy Wisłę pod bokiem; czekaliśmy dotychczas cierpliwie, poczekajmy jeszcze, ale w braku wody strzeżmy się ognia, bo moglibyśmy się spalić do szczytu.

Uspokoiły mnie trochę te perswazyje, przeawiające, nietyłe do rozumu, ile do serca, i mam twarz znowu tak uśmiechniętą, jak Miss Leony Dare, kiedy drobnymi ząbkami chwytła haczyk trapezu przyczepionego do balonowej łódki i puszca się w powietrze.

Nie wiecie, kto jest Mis Leony Dare?... to excentryczna Amerykanka, zbudowana, jak posąg, silna w szczękach, jak aligator, nadobna jak Venus. . cyrkowa, najśmielsza z europejskich akrobatek, która odbywa napowietrzne podróże pod obłoki, zawieszona zębami na haczyku, jak „syrena złowiona na wędkę.“

Zeszłej Niedzieli ze swoim *impresario*, p. Spelterini, puściła się z areny dawnej wystawy higienicznej w górę, pożegnawszy publiczność rączkami, nóżkami, powiewaniem chustki i wdzięcznem: *Au revoir!*...

Na gruncie ex-wystawy higienicznej, Miss Dare była nieco spóźnionym, ale najzdrowszym chyba, okazem silnych zębów i tęgich mięśni, nie mówiąc o odwadze, która dreszczem przejmowała zebrane tłumy.

Quis.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

IV. Tak być musiało.

Pan Sylweryusz swoim zwyczajem chodził tam i napowrót po pokoju z jedną ręką w kieszeni, z drugą opartą na lasce, i zdawał się być bardzo zajęтым swemi myślami, pomimo rozmowy, jaką od godziny prowadził ze swoim gościem, mężczyzną już niemłodym, o powierzchowności trochę zaniedbanej, siedzącym w fotelu pod oknem przy stoliku, zarzuconym klejonkami i plecionkami gospodarza.

— Mój Łapsiuniu — mówił stary Lacki, zatrzymując się na środku pokoju — więc to taka historia z tym Odonieckim!... a niech go kaci!... stary dziwak jeszcze po śmierci figle płał. No, proszę, proszę, to zupełnie zmienia postać rzeczy — dokończył, jakby w rozmowie z samym sobą.

— Ja myślałem, że pan dobrodziej słyszał o tem dawno — wtrącił zagadnięty. — Pan dobrodziej przecież zawsze wie wszystko.

— Tak, tak, wiedziało się dawniej, ale nie teraz; zkąd mam wiedzieć?... z domu nosa nie wyścibiam z powodu tej nogi, no, i niedomagam ciągle na zdrowiu, a u siebie mało przyjmuję, bo, jak widzisz, nie jesteśmy urządzeni wcale. Z temi interessami taki kłopot; człowiek nie wie właściwie czem jest: czy wieśniakiem, czy mieszczuchem; żeby się to raz zdecydowało siak, czy tak, to wiedzielibyśmy przynajmniej, czego się trzymać. Ja umyślnie nie każę z Laszkowic mebli sprowadzać, bo to się ruiniuje taką przewózką. Skoro raz ureguluję sprawy majątkowe, no, to albo wrócę na wieś, albo tu się urządzę.

Powtarzał to od lat dwóch każdemu, kto go odwiedzał, jakby się usprawiedliwiał z fałszywym wstydem przed tymi, którzy go widywali na innym tle: pałacu w Uniaticzach, lub we dworze laszkowickim swojego czasu. Wstydział się tych dwóch skromnych pokoiów; jego officjaliści dawni lepiej mieszkali.

— Zapal papierosa — mówił do swego gościa tonem pewnej poufałości, która musiała mieć dawniejsze jeszcze prawa — ale musisz sobie sam skrócić, bo ja robionych nie palę, a Romuś wcale tytoniu nie używa. Albo czekaj, może wolisz cygaro? ja zaraz poszlę po cygara. Powiedz prawdę, nie żenuj się.

Udawał, że się krząta przy biurku i gotów swojego gościa uwędzić w hawańskim dymie, jak to ongi czynił, gdy jeszcze całe szufłady bywały u niego zawałone rozmaitemi gatunkami Bocka.

— Niech pan dobrodziej się nie fatyguje, pan dobrodziej wie, że Łapsiewicz i na niuchu tabaki poprzestanie — z układną miną powstrzymywał gospodarza gość, uśmiechając się przytem z lekką ironią.

— Proszę cię, po starej znajomości; tak dawnieśmy się nie widzieli; chciałbym cię czemkolwiek ufetować. Pamiętasz, jak to wówczas, kiedyśmy sprzedawali ten las na Urwisku, kiedym cię kazał wsadzić na beczkę zieleniaku i odwieźć do domu... Dobry był zieleniak — prawda?

— O dobry, i czasy były lepsze!

— Poczekaj, poczekaj, wrócą jeszcze, wrócą!... nie bój się: lasów już nie będziemy sprzedawali, jak dawniej, ale zieleniaczek się znajdzie, jeszcze dla ciebie, jeśli nie w beczkach, to w butelkach zobaczysz!... Niech - no ja wydobrzeję zupełnie...

Łapsiewicz jedno oko zmrużył, rudo-szpakowatą głowę przechylił naprawo i z zajęciem spytał:

— Ma pan dobrodziej już jaką sperandę zakończenia z wierzycielami?

Pan Sylweryusz zaskoczony tak obcesowo zapytaniem, chrząknął, trochę zbity z toru, i zamiast odpowiedzi, uśmiechnął się tajemniczo, popukał palcem w czoło i znacząco odparł:

— W tem już moja głowa!...

Twarz Łapsiewicza pomarszczyła się, jak skóra na zółwiu, małe, przenikliwe oczki zniknęły zupełnie pod krzaczystemi rudemi brwiami, a na ustach, szorstkim, szczycinowatym okolonych wąsem, zlewającym się z kłaczystemi bokobrodami osiadł uśmiech, odstaniający koszlawe, rzadkie i żółte zęby.

W rysach Łapsiewicza było coś małpiego, ale ta małpia twarz miała wyraz szczwanego lisa, jakgdyby w tym człowieku dwie zwierzęce natury się zespoliły; był on swojego czasu totum-fackim pana Sylweryusza; służył w interesach za wyzła, który tropi, i za charta, który goni. Wszystkiegoś podejmował, byle „honor i sumienie“ — jak powiadał — pozwalało. Na honor i sumienie zaklinał się też przy danej sposobności, dodając czasem żartobliwie: „jak-em brzydki.“

Powierzliwość uprzedzała jaknajgorzej do tego człowieka, a jednak nie można mu było zarzucić żadnej podłości; nieboszczka pani Salomea, która miała instynkt do ludzi, lubiła Łapsiewiczza i miała do niego zaufanie. Nazywała go tylko „za sprytnym“ niekiedy; za dużo bowiem miał domyślności i lubił się wtrącać w nie swoje rzeczy. Lackim służył chętnie i wiernie, przynajmniej nie można go było nigdy złapać na złym uczynku lub przewrotności; rzetelnym był zawsze i kontentował się małym dochodem.

— To fenomen uczciwego człowieka z taką łotrską twarzą—mawiał o nim p. Sylweryusz.— Policya powinna mu nakazać, aby chodził pod maską, bo w ciasnej uliczce możnaby się go przestraszyć o południu.

Jeden Romuald nie podzielał jakoś opinii rodziców i przekonania o „Łapsiuniu“; nie lubił go i dlatego dawny pośrednik i totumfacti domu usunął się po śmierci p. Salomei i zachwianiu się majątku Lackich.

Byłaby też ta niespodziana wizyta Łapsiewiczza bardzo dziwna Romualda, gdyby go był zastał u siebie w domu po powrocie z Brylantówki, a jeszcze bardziej, gdyby się był dowiedział, w jakim celu p. Sylweryusz sprowadził dawnego famulusa.

Chciał przez niego poprośtu zasięgnąć wiadomości co do majątkowego stanu p. Odonieckiej. Młoda i bogata wdowa od pewnego czasu zajmowała starego Lackiego bardzo żywo.

— Trzebaby tę ewentualną synową zbadać do gruntu — powiedział sobie i napisał do Łapsiewiczza krótko i węzłowato:

„Mój Łapsiuniu, dowiedz-no mi się, co można wiedzieć o Odonieckich z Ukrainy; tylko tak po swojemu, szybko, dokładnie i dyskretnie.“

Na trzeci dzień Łapsiewicz był już z odpowiedzią, ale odpowiedź bardzo zawiodła p. Sylweryusza; zasięgnięte informacje pomieszały mu wszelkie rachuby. To, czego się dowiedział, nie usposobiło go wcale przychylnie dla p. Odonieckiej, ale przeciwnie, zraziło starego do kobiety, którą znał tylko z opowiadań syna i oceniał za stanowiska swoich ojcowsko-praktycznych kombinacji.

— Więc ty powiadasz, że ona nicnie ma oprócz dożywocia?—pytał poraz dziesiąty Łapsiewiczza.

— Prawie że nie, bo jak panu dobrodziejowi mówiłem, cały majątek nieboszczki pochodził głównie z posagu pierwszej żony, który zapisała na imię córki; pani Zofia zaś swego ani grosza nie miała, idąc za męża za wdowca. Przecież opiekun całą wyprawę sam swojej narzeczonej sprawiać musiał.

— Co ty mówisz!...

— Jak-em brzydki, tak prawda. A potem podobno stary nie chciał, aby po nim młoda wdówka za jego pieniądze kupiła sobie nowego męża. Ot, ludzie tak gadają, ale kto to może wiedzieć. Pan dobrodziej go znał przecież: dziwaczysko był, oryginal, narwana głowa, może tam i zazdrościł poza grobem innemu, i dlatego tak się obwarował sprytnie.

— Więc takim sposobem pani Odoniecka nie jest żadną partyą?

— No, jak dla kogo; ładna, rozumna, wykształcona i dobra, chwała ją bardzo.

Lacki ręką machnął.

— Co to z tego!...

A w myślach powiedział sobie zaniepokojony:

— Żeby tylko ten Romuś nie zagalopował mi się zanadto; to żaden interes dla nas. Dożywocie!... cobyśmy poczuli z dożywociem tylko?! Muszę go przestrzedz przed czasem.

Małżeństwo syna traktował zawsze jako wspólny interes.

— Wiesz ty — odezwał się po chwili do Łapsiewiczza — wiesz, Łapsiuniu, że w takim razie ta mała, jak jej tam na imię?... — Dziunia.

— Ta Dziunia to będzie za lat kilka niebezpieczną rywalką dla macochy. Uniwersalna spadkobierczyni!... a dobra czyste?

— Jest towarzystwo, i to nie na wszystkich.

— Co ty mówisz!... a ta Dziunia już dorosła?

— Będzie miała z lat dziesięć; pamiętam ją

jeszcze w pieluszkach, kiedym bywał u nieboszczki w Darence.

Pan Sylweryusz się skrzywił niechętnie; za długoby było czekać na taką synową. Kandydaturę Odonieckich stanowczo trzeba było wykreślić raz na zawsze z listy; a tak się dobrze z pozorów zapowiadało wszystko!... Stary Lacki niemal czuł żal do nieboszczki Odonieckiej za jego dziwactwa; potrzebował też zawiązywać los kobiecie, mającej tyle warunków na... jego synową. Egoista!...

W kilka dni po konferencji z Łapsiewiczem, powrócił Romuald z Brylantówki; baczne oko ojca odkryło w nim odrazu pewną zmianę. Postanowił niebezpiecznym ewentualnościom zapobiedz, póki czas, i to w sposób radykalny, jak przypuszczał.

Przy pierwszej nadarzonej sposobności, niby od niechcenia, rozpierając się na kanapie i dłużyć piórkami w zębach po obiedzie, odezwał się do syna:

— Więc ta twoja pani Zofia goła, jak święty turecki.

Użył umyślnie dobitnego wyrażenia, aby nacechować należycie wrażenie, jakie zamierzył tą wiadomością sprawić na synu.

— Wiesz ty, że stary grosza jej nie zapisał, oprócz dożywocia?... biedaczka, wdowiej żaloby nie będzie mogła zrzucić chyba do końca życia.

Romuald spojrział na ojca zdziwiony i zapytał zimno:

— Dlaczego?

— Bo któż się dzisiaj zechce ożenić z wdową nie-cieplą. Takiego waryata w naszych czasach, praktycznych a ciężkich, nie znajdzie.

Romualdowi serce zabiło gwałtowniej, zrozumiał intencją ojca w tych słowach.

— Kto to wie! — rzekł, hamując się i zmuszając do spokoju.

— Zresztą niech się żeni, kto chce — ciągnął dalej p. Sylweryusz z naciskiem na każde słowo — bylebyś ty tego głupstwa nie zrobił.

— Cóżby to było za głupstwo?

— Największe, jakie w naszym położeniu mógłbyś uczynić, zwłaszcza teraz, kiedy wszelkimi sposobami trzeba się starać o powstrzymanie ostatecznej naszej ruiny. Zapominasz o tem, że lada dzień spaść możemy zupełnie ze stołka, w którym wszystkie nogi są już podpiłowane.

— Czy ojciec sądzi, że moje ewentualne małżeństwo należy do naszych spraw majątkowych? — przerwał mu Romuald z gorzkim uśmiechem ironii.

— A rozumie się; cóżes ty myślał, że nie?... tobie nie wolno się żenić wcale, albo żenić bogato jedno z dwojga. Nie mamy czego ukrywać przed sobą tej prawdy.

— Krótko mówiąc, muszę się sprzedać za wysoką cenę?

Nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu.

— Któż to powiada!... — reflektował ojciec — dlaczego zaraz przesadzać?... możesz się ożenić dla serca i kieszeni zarazem. Cóż to? ładnych, dobrych i bogatych pańien na wydaniu zabrakło już na świecie? masz warunki, możesz się potargować. Takich Lackich niewiele jest do wzięcia. Ja cię przecież gwałtem nie żenię z nikim, ale nie mogę pozwolić, abyś się złapał i potem pokutował całe życie. Ja robię, co mi serce każe, ty zrobisz, co ci rozum podyktuje.

— Nie mówmy lepiej o tem—przerwał mu Romuald niechętnie, z widocznym już rozdrażnieniem, i wyszedł do drugiego pokoju.

— W każdym razie, wiedz o tem — rzucił za nim pan Sylweryusz podniesionym nieco i stanowczym głosem ostrzeżenie na koniec tej pierwszej rozmowy w przedmiocie tak ważnym dla obu — że czuam nad tobą i że ci, jako ojciec, głupstwa żadnego zrobić nie pozwolę. Zapamiętaj to sobie!...

Brzmiała w tym głosie nuta ojcowskiego despotyzmu, która rzadko odzywała się w ustach starego Lackiego, ale którą Romuald pamiętał jeszcze z czasów dziecińczych, tylko, że wówczas łagodził ją zaraz miękki współdzwięk matczynej miłości.

— Nie pozwolę!...

Te dwa wyrazy zabrzmiały dziwnie w uszach

i sercu Romualda; przypomniały mu, że istnieje nad nim, człowiekiem dojrzałym i pełnoletnim, jeszcze moralna władza, z którą walczyć mu nie wolno, według wszelkich praw Boskich i ludzkich: wola ojcowska, a której poddać się nie mógł bez zaparcia się swoich najgorętszych uczuć i pragnień.

Za pierwszym promykiem szczęścia, jaki mu błysnął w miłości pani Zofii, zbierać się już zaczęły pierwsze groźne chmury, zapowiadające burzę nad jego głową. Jeszcze nie miał czasu powiedzieć jej otwarcie: „kocham cię“ — a już mu zabroniono kochać i nakazywano wyrzec się wszelkich nadziei, wszelkich praw serca, zbudzonego czarownym zaklęciem miłości do życia, które miało być odrazu walką i cierpieniem dla niego.

Z przykrych dumań na ten temat wyrwał go głos dzwonka u drzwi; posłaniec przyniósł list od adwokata, wzywający Romualda natychmiast w ważnej sprawie na naradę, nie cierpiącą najmniejszej zwłoki.

— Wychodzę do Malińskiego — rzekł ojcu, próbującemu drzeć po obiedzie.

— Czy cię wzywał?... najbliższy termin dopiero za trzy tygodnie. To pewnie w sprawie tego łajdaka Pinkowera, który chce się wpakować gwałtem na Laszkowice.

— Nie wiem, zobaczę.

Nałożył kapelusz na głowę i wyszedł.

Pan Sylweryusz rozpamiętywać zaczął całą rozmowę z synem, która obu wzburzyła; leżał na kanapie i ziewał, mrużąc od czasu do czasu:

— Nic z tego!... oho!... figa!

Oczy mu się powoli kleiły poobiednią drzemką, gdy dzwonek u drzwi odezwał się po raz drugi.

Służący pani Odonieckiej przyniósł liścik, jak zwykle wonny, świeżutki, adresowany kształtnym okrągłym piśmem, z dewizą: *Viens à moi*.

— A to jej pilno! — mruknął rozbudzony Lacki — i list wrzucił niechętnie do szuflady swego stolika, szufladę na klucz zamknął i położył się znowu na kanapie z zamiarem nie oddania synowi korespondencji za powrotem.

W liście stały tylko te wyrazy: „Chcę z panem pomówić dziś... wieczorem... koniecznie.“

Napisała do niego pierwsza, chciała go widzieć bez świadków, bez obawy przed cudzemi spójrzeniami, potrzebowała jego obecności, jego głosu, jego widoku, odkąd wiedziała, że jest kochaną przez niego.

Rozstali się za powrotem z Brylantówki, nie mogąc słowa z sobą zamienić po owej scenie w samotrzasku; zdawało się jej, że powinna go ośmielić teraz, rozwiązać mu usta, w których skrycie drżało to płomiennie słowo: „kocham“, niesłyszane przez nią nigdy w życiu z takim odgłosem w jej sercu, w całej jej istocie moralnej i fizycznej, jak teraz, gdy po raz pierwszy sama pokochała.

Przypomniały jej się słowa poety, czytane kiedyś w jakimś tygodniku:

Kto kocha bardziej jest z bóstwem zbratany,
Niż kto kochany 1).

Tem przeświadczeniem o swojej miłości, pragnieniem, drżeniem wyczekiwania, wspomnieniem chwil spędzonych z Romualdem samnasam, czuła się szczęśliwą, jak nigdy.

„Wczoraj“ było jej marzeniem, „dzisiaj“ tęsknotą, „jutro“ zagadką, której nie silila się jeszcze rozwiązać.

Wiedziała, że kocha i chciała się przekonać, że jest kochaną przez wybranego mężczyznę, chciała słuchać tego, jak melodyi niebiańskiej, półsenna, pół na jawie i rozkoszować się czarem pierwszego wyznania.

Życie dawało jej dotąd szczęście, którego nie pragnęła, nie szukała sama. los mimo jej woli decydował dotąd o niej samej; wyszła za męża z człowieka starszego, dla którego oprócz szacunku i wdzięczności niczego więcej żywić nie mogła; została wdową w rozkwicie lat i wdzięków, wolną, niezależną, wtedy, gdy zaczęła przywykać do

1) Gomułicki: „Gdy kochasz“.

(Przyp. Red.).

swego stanu, spadły na nią obowiązki macierzyństwa bez macierzyńskich rozkoszy.

Kwiaty, które jej dotąd życie usypało drogę, były bez woni, sztuczne, bez wdzięku świeżości; teraz pierwszy raz kwiatuszek szczęścia błysnął na gałązce, wyciągnęła ku niemu obie ręce, była gotową oddać wszystko za ten jeden wonny pączek, tak późno rozkwitający.

Nie mogła doczekać się wieczoru; zmrok zapadał powoli, leniwo, jak nigdy. Chodziła po salonie, wyłożonym miękkim, perskim dywanem, stawała u okien, przez które widać było szare mury kamienic, kwadratowe flizy chodnika, asfaltowany bruk i kilkanaście pożółkłych drzew na przeciwnym skwerze. Czerwone płomyki gazowych latarni oświecały przechodniów, rojących się w dwie przeciwne strony, jak mrówki wydeptaną ścieżyną; migły niebieskie światelka dorozek, katarynka w oddali grała aryę z „Traviaty“.

Wszystko to wydawało jej się dziwnie banalnym i nudnym.

Usiadła do fortepianu i zaczęła przebierać palcami po klawiszach; stary romans Rubinsteina przyszedł jej na myśl, tensam, który grała u Fiszbaumów i przy którym po raz pierwszy spotkała się z oczyma Romualda.

Grała długo, wracając po kilka razy do jednej i tejsamej melodyi, jakby ją zakląć chciała i ucieleścić widmo, stojące przed nią w jej własnych myślach.

Romuald, wyczekiwany tak niecierpliwie nie przychodził.

Bronzowy zegar na kominku, jakby urągał swym srebrnym głosikiem, dzwonił godziny i kwadransy, szóstą, siódmą, ósmą, dziewiątą....

Romualda nie było.

Zmęczyło ją to wyczekiwanie i ta niepewność w końcu: czy przyjdzie?

— Dlaczego nie przychodzi? — pytała się i próbowała odpowiadać sobie domysłami.

Powinien był pośpieszyć, co go powstrzymywać mogło?... wczoraj o tej porze trzymał ją w swoim objęciu, klęczał u jej kolan i ręce okrywał pocałunkami, a dziś?... miałby wytrzeźwić się z chwilowego szału, opamiętać i zerwać tę nie tęczową, która się splątała między nimi przypadkiem?...

Nie, to nie on, to niepodobne na niego.

Usiadła w najciemniejszym kątku salonu, pod zielonym baldachimem szerokich liści, które zwieszały się nad jej głową z dużych, majolikowych wazonów na marmurowych słupkach; przymknęła oczy i marzyła....

Zdawało jej się, że chodzi z nim po cmentarzu i rozmawia o jego matce, o jego planach, słucha jego zwierzeń, że potem w łodzi płyną razem, środkiem ciemnego parku, a z brzegów drzewa wyciągają nad nimi swe ramiona i łączą je w gęste, ciemne, liściaste sklepienia, że z wody wychylają się olbrzymie nenufary i oplatają coraz bardziej kruchą ich łódkę a ciemność coraz większa zapada do koła i tylko przed nią para oczu, jak dwa jarzące płomyki, świeci w ciemności... Jakiś lęk, groza, dreszcze niepokoju przejmują ją.

Czuje się potem porwaną w jego ramiona, ale nie widzi już ani jego twarzy, ani oczu płonących, ani nic dokoła siebie, tylko te usta gorące, namiętne, drżące pragnieniem pocałunku, które szepczą wszystkimi pokuszeniami piekła i raju miłości:

— Kocham cię....

I w tejsamej chwili opadają fantastyczne sklepienia, nieprzedarte gąszcze, pierzcha noc; tylko matowe światło księżyca oświeca bladą, zmęczoną twarz jego i głowę, którą ona podtrzymuje swojemi rozpalonemi dłońmi a ten sam głos cichszy, spokojniejszy, łagodny mówi teraz:

— Kocham cię, nie tą potęgą miłości, którą się pokonywa kobietę, lecz tą, którą mężczyzna zwalczając samego siebie w chwilach najcięższej próby. Kocham cię, jak świętość, przed którą padam na kolana, kocham cię i boję się obrazić samą myślą pożądania twego pocałunku....

Zegar wydzwonił dziesiątą.

Ocknęła się, powstała szybko i szepnęła do siebie ze smutkiem i rezygnacją:

— Nie przyjdzie już.

W stołowym pokoju zastała wszystko przygotowane do herbaty, nakrycie dla dwojga; przeszła do swego budoaru i nie wołając panny do pomocy, zaczęła się rozbierać powoli. Rozpuściła włosy przed lustrem i czesała je długim sztyldretowym grzebieniem; była piękną, jak Magdalena Tycyana, w tych splotach falujących dokoła twarzy i spadających złotą kaskadą na ramiona i pierśi z alabastru, ale patrzyła w zwierciadło obojętnie, nie widząc prawie własnych wdzięków, zatopiona całą duszą w myślach o czem innym, niż o sobie.

Przy łóżku pod koronkową kotarą na niebieskim atłasie stał zgrabny i misternej roboty klęcznik, a nad nim wisiała na słoniowej kości w bogatych rzeźbionych ramach kopia „Madonny” Murilla.

Uklękła przed nią, głowę oparła na złożonych rękach i zaczęła modlić się w duchu:

— Złotowaś Maryo, łaskiś pełna, królowo czystych, opiekunko słabych, tarczo niewinnych, lekarko cierpiących, w święte twoje dłonie składam me serce, tobie polecam duszę moją, przed tobą pierwszą spowiadam się z ziemskiej miłości mej... Jeżeli grzeszna, odtrąć ją, błogosławiona między niewiastami; czuwać nademną, czuwać nad nami, Panno przeczysta i nieskałana!...

Łagodne światło lampki przed Matką Boską oblewało jej głowę, rozpuszczone włosy spływały falistym płaszczem na ramiona; klęczała, modląc się, a właściwie pograżając w kontemplacji długiej, głębokiej, kojącej, jak balsam duszę i zmysły....

W tym samym czasie Romuald, jakby przecuciem wiedziony, przechodził pod jej oknami, zatrzymał się na skwerze i spojrzął w górę; w salonie paliła się zapomniana lampa pod lustrem, na suficie znać było wyraźnie krążek światła, na szybach cień kwiatów w etażerkach; w ostatnim oknie przez firanki przeziierało niebieskie światelko poświęcanej lampki nad klęcznikiem; czyjaś ręka zapuściła roletę.

— Dobranoc! — szepnął Romuald, jakby na pożegnanie i odszedł smutny, przybity rozmową z ojcem i konferencją u adwokata, której dalszy ciąg czekał go jeszcze dnia następnego.

Dalszy ciąg nastąpi).

ZACMIENIE SŁOŃCA.

Podobnie jak na ziemi ciała nieprzezroczyste, oświetlone jakimś światłem, nieprzepuszczają go przez swą masę i rzucają na przeciwną stronę cień, tak samo ciała niebieskie, nieprzezroczyste, krążące w przestworach a oświetlone drugim ciałem rzucają poza sobą cień, który zależnym jest od wielkości, tudzież położenia i odległości ciał od siebie.

Ta własność ciał niebieskich sprawia, że w pewnych odstępach czasu jesteśmy w możności obserwować zjawiska znane pod nazwą *zaćmienia*.

Na 19 Sierpnia r. b. przypada zaćmienie słońca. Postanowiliśmy tu w krótkości wyjaśnić naturę i przebieg zjawiska zaćmień słonecznych i księżycowych.

Księżyce, krążąc około ziemi, i będąc ciałem nieprzezroczystym, znajduje się w pewnych oznaczonych terminach czasu na takiej linii prostej między słońcem i ziemią, że cień przez niego rzucony zająć może na powierzchni ziemi przestrzeń, do której żaden promień słoneczny nie dojdzie. Położenie takie tych trzech ciał między sobą, nazywa się zaćmieniem słońca, które raczej nazywać-by się powinno zaćmieniem ziemi, gdyż ta ostatnia zostaje zaćmieniona, a słońce pozostaje w całym swym blasku, tylko, że my go z ziemi skutkiem interwencji księżyca przez kilka chwil widzieć nie możemy. Najmniejsza szerokość przestrzeni na powierzchni ziemi mogącej być zaćmieniona przez księżyce jest w krajach równo-

wych 30 mil, a największa w krajach biegunowych dochodzi do 200 mil. Kto obserwował cień padający od pewnego przedmiotu, ten z łatwością mógł zauważyć, że nigdy nie jest on ostro ograniczony, lecz wolna rozjaśnia się i stopniowo zlewa się ze światłem. Otóż przejście to z zupełnego cienia do światła nazywa się *półcieniem* lub *przycieniem*.

W krajach, gdzie księżyce powoduje zupełny cień, mieszkańcy ich obserwować mogą *całkowite*: tymczasem, tam, gdzie sprowadza półcień, tylko *częstkowe zaćmienie słońca*.

Ponieważ jednak księżyce odbywa bezustanną drogę, t. j. przesuwa się między słońcem i ziemią, skutkiem tego i cień jego przykrywa na powierzchni ziemi coraz-to nowe przestrzenie, tak, że można na kuli ziemskiej wykreślić cały pas, jaki przebędzie cień księżyca w czasie trwania zaćmienia, i wskazać dla każdej miejscowości początek, środek, koniec, tudzież wielkość zjawiska.

Zaćmienia słońca — jak to z powyższego wynika — bywają tylko na nowiu, ponieważ zaś w tym stadium księżyce znajduje się zawsze na linii prostej, przeprowadzonej od słońca do ziemi, zdawałoby się więc, że podczas każdego nowiu powinniśmy mieć możność obserwowania zaćmienia słońca. Że tak nie jest, powód mieści się najpierw w tem, że nie zawsze cień rzucany przez księżyce jest dosyć długim, by dosięgnął powierzchni ziemi, a powtóre z przyczyn krążenia, jakie księżyce odbywa, a skutkiem której płaszczyzna drogi księżycowej nie schodzi się z płaszczyzną ekliptyki¹⁾, lecz jest do niej pochyloną na 5 stopni, zaćmienia nie bywają na każdym nowiu. Zaćmienie słońca może być na ziemi w jednym miejscu widzianem a w drugim nie. Skutkiem szybkości ruchu księżyca, najdłuższe całkowite zaćmienie słońca nie może trwać dłużej nad 7 minut, a potem przechodzi w cząstkowe; na jednych miejscach globu naszego widzianem jest zaćmienie całkowite, gdy na drugich tylko cząstkowe. Skutkiem nadzwyczaj dokładnych tablic krążenia księżyca można na sekundy obliczyć czas zaćmienia. Obraz zaćmienia słońca przedstawiają nam doskonale chmury gnane przez wiatr — tak, że na ziemi skutkiem tego widzimy pasy, będące w cieniu i w pełnym oświetleniu słonecznym. Zadać sobie należy pytanie: w jaki sposób księżyce, którego średnica jest znacznie mniejszą, może przykryć, o znacznie większej średnicy, tarczę słoneczną. Skutku tego dokonywa odległość. I tak, gdy księżyce znajduje się najbliżej w punkcie przyziemnym (perigeum) wtedy średnica jego tarczy wynosi 33 minuty i 34 sekundy t. j. przewyższa wówczas znacznie średnicę słońca i może spowodować całkowite zaćmienie tej ostatniej gwiazdy. Gdy księżyce znajduje się najdalej od ziemi, t. j. w punkcie odziemnym (apogeum) wtedy średnica jego wynosi tylko 29 minut 26 sekund i jest zamałym, aby mógł całkowicie przykryć tarczę słoneczną. Jeżeli w czasie nowiu i w tej odległości księżyce znajdzie się na linii prostej między słońcem i ziemią, wtedy zasłoni tylko środek tarczy słonecznej i mieć będziemy to, co nazywają *zaćmieniem obrączkowym* (annularis). To, co powiedzieliśmy o zaćmieniach całkowitych, może być w całości zastosowaniem i do zaćmienia obrączkowego.

Ponieważ ziemia nie jest okrągłą, lecz ma kształt elipsy i odległość jej w różnych punktach od księżyca jest różna, i nie z każdego punktu pod tym samym kątem księżyce jest widzianym, przeto to samo zaćmienie może być dla rozmaitych krajów całkowitem, cząstkowym, obrączkowym lub też może wcale nie mieć miejsca.

Po upływie 19 lat wszystkie pełnie, nowie i wszystkie w ogólności przemiany księżyca przypaść muszą na te same dni, chociaż w różnych godzinach; gdyż, ściśle biorąc, nie potrzeba 19 lat, lecz tylko 18 i 219 dni na przebycie ekliptyki. W ciągu 18 lat przypada 28 zaćmień słońca

(1) Linia prawdziwego wschodu i zachodu przechodzi przez punkta w których równik przecina poziom, gdybyśmy więc przez tę linię tudzież przez punkt, w którym znajduje się słońce w przesileniu np. letnim, poprowadzili płaszczyznę, to przetnie ona słońce i ziemię w kole wielkiem. To koło nazywa się *ekliptyką*.

środkowych, t. j. takich, że środek księżyca przechodzi w czasie nowiu przez środek tarczy słonecznej, jeżeli patrzeć na te ciała ze środka ziemi. W przypadku dla jednej i tej samej miejscowości przypada co 200 lat jedno zaćmienie całkowite słońca.

Staraliśmy się, oile możności, zwięźle i zrozumiale objaśnić przyczyny zaćmienia słońca; teraz rozpatrzeć jeszcze wypada w czem zjawisko to może być dla nas interesującym. Przedewszystkiem pod względem naukowym, t. j. dla astronomii, ma ono bardzo doniosłe znaczenie. gdyż w czasie jego trwania obserwować można fenomena, których kiedy indziej dostrzedz niepodobna i właśnie w czasie zaćmienia dokonano bardzo wielu odkryć naukowych, co do kształtu ciał niebieskich, światła, krążenia i t. p.

Obserwować zaćmienie słońca najlepiej za pośrednictwem kawałka zwyczajnego szkła zakopconego.

Częstkowe zaćmienie słońca umożliwia ciekawe wielce badania cieni drzew. Wiadomo, że jeżeli promienie słoneczne przedostają się przez bardzo wąskie szczeliny, wówczas na ekranie z białego płótna nie otrzymujemy wyobrażenia otworu, lecz samego świecącego ciała. Dla tego-to, gdy promienie słońca przedzierają się przez gęste drzewa, wtedy spostrzegamy na cieniu wielką ilość okrągłych świecących krążków. co właściwie jest skutkiem tego, że otrzymany obraz jest obrazem, nie szczelin między drzewami, lecz samego słońca; otóż w czasie zaćmienia słońca krążki te nie są okrągłymi, lecz mają kształt sierpowaty. Częściowe zaćmienia nie przedstawiają zresztą żadnych nadzwyczajnych objawów i nie posiadają ważniejszego znaczenia naukowego.

Zupełnie inny charakter pod tym względem mają zaćmienia całkowite. W miarę jak tarcza księżyca zakrywa słońce, poczyna się coraz bardziej ściemniać, a gdy zgaśnie ostatni promień słońca występuje ciemność zupełna, której nie można porównać z ciemnością zmierzchu lub nocy, nosi ona bowiem na sobie zupełnie odrębny charakter. Przedmioty na ziemi przybierają odcień fioletawy a niebo—zielonawy. Gwiazdy i planety o silniejszym świetle jasno przyswiecają na pociemniałym nagłe firmamencie.

Naokoło miejsca gdzie jeszcze przed chwilą widzieliśmy słońce, widać świetny biały światła pierścień na 40 do 50 minut szeroki, który w roku 1842 widziano nawet podwójnym; ztąd wytryskają na wszystkie strony promienie światła, około zaś samego brzegu księżyca pokazuje się różowe światło, które następnie przechodzi w jasno-żółte i wraz z całym pierścieniem niknie, gdy się całkowite zaćmienie kończy. Wspaniałe to zjawisko podobne jest do aureoli, jaką malarze głowy świętych otaczają, a astronomowie nazywają *koroną*. Prócz tej świetnej aureoli widzieć można jeszcze, przez silne teleskopy, szczególnie na wschodnim i zachodnim brzegu księżyca, jakby zmarszczki lub nabrzmienia oświetlone czerwonym światłem. Przyczyna tego zjawiska dotąd jeszcze mało jest zbadaną. Przypuszczają, że cała kula słoneczna otoczona jest pewną jasną *światłosferą*, której z powodu jasności słońca, owiele ją przewyższającej, widzieć nie możemy, i dopiero, gdy ją księżyc całkiem zakryje, staje się dla nas widzialną jako owa korona a narostki mają być chmurami pływającymi w owej powłoce. Że korona i narostki należą do słońca, a nie do księżyca, dowiodły obserwacje robione w czasie zaćmienia w r. 1860 dnia 18 Lipca. Na ziemi temperatura zniża się bystro, i to na kilka stopni, wiele bardzo roślin zwija swe liście i płatki kwiatów, podobnie jak w nocy. Obserwacje dokonane na niektórych rodzajach Oxalis i Trifolium pokazały, że wpadają one w rodzaj snu, przeciwnie zaś Mimosa, tak *nerwowa*, wrażliwa na wszelkie bodźce zewnętrzne, pozostaje niezmienną. Można powiedzieć, że wpada w rodzaj tężca skutkiem tego niespodzianego zjawiska. Zwierzęta lekają się w wysokim stopniu zaćmienia słońca, ptaki przestają śpiewać i świegotać, a niekiedy padają jak martwe, na ziemię. Konie stają na miejscu, jak wryte, i nie chcą ruszyć naprzód; psy kręcą się niespokojnie, szczerzą lub wyją. Na ludzi,

szczególniej zaś na dzieci i kobiety, zjawisko zaćmienia sprawia niezmiernie wrażenie.

Jeżeli dla zwykłego człowieka zaćmienie słońca przedstawia tylko wspaniałą i zarazem groźny widok, to dla astronoma posiada ona ze wszech miar doniosłe znaczenie. Dodać należy, iż dziś, z udoskonaleniem przyrządów astronomicznych, a przedewszystkiem kolosalnych teleskopów, znaczenie to owiele zmniejszyło się, niemniej jednakże uczone ekspedycje udają się stale, dla obserwacji, do miejscowości, gdzie można widzieć całkowite zaćmienie słońca.

Objawy, jakie widzimy w czasie zupełnego zaćmienia dają się rozdzielić na dwie główne grupy: objawy dotyczące budowy samego słońca i objawy odnoszące się do innych ciał niebieskich. Ażeby wyjaśnić objawy pierwszej grupy, mianowicie korony, trzeba pokrótce przypomnieć sobie hipotezę francuzkiego astronoma Faye'a o budowie słońca.

Przypuszcza on, że słońce jest nagromadzeniem wielkiej ilości gazu, znajdującego się pod nadzwyczaj silnym ciśnieniem. Wiadomo, że gazy przy wielkim ciśnieniu zamieniają się w płyny, lecz ma to tylko wówczas miejsce, jeżeli temperatura nie jest zbyt wysoką; w przeciwnym bowiem razie nawet przy nadzwyczajnych ciśnieniach mogą pozostać w stanie gazowym. Otóż w takim stanie na słońcu mają się znajdować rozpalone pary metalów. Rozumie się, że my o tem sądzić możemy jedynie przez analogią, na ziemi bowiem takiej temperatury i ciśnienia nie posiadamy. Hipoteza ta Faye'a znajduje potwierdzenie w wielu bardzo zjawiskach na słońcu obserwowanych, i, co ważniejsza, objaśnia z nich bardzo wiele, a jakkolwiek w niektórych razach okazuje się niedostateczną, jest jednak prawdopodobniejszą od innych. Szczególniej dobrze objaśnia hipoteza Faye'a plamy słoneczne: przypuszcza on, że są to wichry i burze na słońcu. Badania widma słonecznego potwierdzają najzupełniej hipotezę francuzkiego astronoma.

Z tej hipotezy wynika, że korona, jaką obserwujemy w czasie zaćmienia słońca, jak tego dowiodła fotografia zdjęta w czasie tego zjawiska, składa się ze światło-sfery, t. j. gazu, w którym analiza spektralna odkryła pierwiastek nieznanany na ziemi a nazwany „Helium.“ Niepodobna wątpić, że obecne zaćmienie, przy udoskonaleniu fotografii, analizy spektralnej i narzędzi optycznych wzbogaci wiedzę ludzką o naturze słońca.

Wypada teraz jeszcze przyjrzyć się zjawiskom na innych ciałach niebieskich w czasie zaćmienia słońca. Często bardzo podczas zaćmienia słońca występuje dla oka ludzkiego nowe planety. Ciała te znajdowały się w wielkiej bardzo odległości od ziemi, a gdy zbliżały się, tonęły w promieniach światła słonecznego, i w ten sposób astronomowie nie byli w możności ich odkryć, i dopiero dostępnymi dla instrumentów optycznych stawały się w czasie zupełnego zaćmienia słońca. Wysokie zainteresowanie budzi odkrycie nowej planety Wulkan, leżącej między Merkurem i słońcem. Od wieków już znane było krążenie Merkurego; astronomowie zauważyli nawet w niem pewne nieprawidłowości, niedające się objaśnić krążącej w jego bliskości planety Wenus. Ponieważ na zasadzie podobnych nieprawidłowości udało się odkryć planetę nazwaną Neptun, przypuszczać więc należy, że istnieje nowa planeta, którą nazwano Wulkanem, lecz dotąd dostrzedz jej nie było można. Z tej samej przyczyny obserwowanie Merkurego jest bardzo trudnem, a znakomity nasz Kopernik przez całe życie ani razu jej nie widział. Owiele trudniej dostrzedz Wulkana, który znajduje się jeszcze bliżej słońca, a dostrzedz go można jedynie w czasie zupełnego zaćmienia słońca lub też w czasie przejścia jego przez tarczę słoneczną. W ostatnich czasach nieprawidłowości w krążeniu Merkurego poczęto przypisywać wpływowi korony słonecznej, tak, że istnienie planety Wulkan, pomimo zapewnień wielu bardzo astronomów, zapewnających, że go widzieli, wielce zachwia-
nem zostało. Zbliżające się zaćmienie powinno by tę kwestyą wyjaśnić.

Dla nas, dyletantów w nauce astronomii, naj-

właściwiej jest zwrócić się do badania świata zwierzęcego i roślinnego w czasie zaćmienia słońca. Nie bez korzyści będzie badanie odcieni kolorów, zarówno na niebiosach jak i na ziemskich przedmiotach, a ponieważ jeszcze Secchi zauważył, że oko kobiece jest pod tym względem daleko wrażliwszem i delikatniejszym, aniżeli męskie, zachęcamy więc czytelniczki aby, nie zważając na pewną niewygodę i koszt wybrały się do poblizkiego Włocławka, gdzie całkowite zaćmienie słońca odbędzie się w całej okazałości, jeżeli... jeżeli pogoda dopisze. W Warszawie mieć będziemy tylko cząstkowe zaćmienie, dla którego, co prawda, przed piątą zrywać się z łóżka nie warto. We Włocławku początek zaćmienia przypada na godzinę 4½ z rana—d. 19 Sierpnia.

St.

Kronika działalności kobiecej.

— Sprawozdanie z czynności „Towarzystwa Opieki nad ubogimi matkami i ich dziećmi“ ogłoszone drukiem, przedstawia stan tej pożytecznej instytucji bardzo pomyślnie. Dochody, powstałe ze składek i ofiar jednorazowych, wynosiły w czasie objętym przez sprawozdanie, 15,994 rubli, rozchodu było 7,239 rubli. Członków liczy Towarzystwo 438, z których przeciw zaległo w opłacie składek 151. Względnie do środków posiadanych zakład Towarzystwa rozwija się zadawalająco: matek ubogich przyjęto tam 182, dzieci przebywało w zakładzie 175. Zmarło dzieci 2, matka żadna. Chore otrzymywały w zakładzie pożywienie i dni żywienia było 7,308. Zarząd Towarzystwa liczy osób 20, pań 10 i tyleż panów, a mianowicie: prezydująca hr. Julia Branicka, zastępczyni prezydującej, J. Górńska, członkowie zarządu: E. Blochowa, A. Kucharzewska, S. Leowa, M. Łempicka, A. Małachowska, hr. M. Małachowska, E. Popielowa, M. Zawiszyna. Wiceprezes St. Przystyński, sekretarz dr Fritsche, kasjer Goldstand; członkowie: S. Brun, S. Górski, ks. Lubomirski, hr. Przeździecki, S. Spiess, K. Szlenkier, hr. T. Zamoyski.

— Ważna gałąź wiejskiego gospodarstwa kobiecego: hodowla kur dla produkcji jaj na zbyt zagraniczny, przedstawia znaczne różnice wywozu w różnych prowincjach kraju. Do tego co *kronika* nasza podała o Lubelskiem, Mazowieckiem, Radomskiem o Wołyniu i Podolu,—dodajemy wiadomości nowe, czerpane z *Korespondenta Płockiego*. Agent zagraniczny, zamieszkujący stale w Kole, a przebywający chwilowo w Płocku i Włocławku, wykupuje jaja po wsiach przez pośredników swoich, i te, pakowane do płaskich skrzyń świerkowych, na które deski przychodzą z Krakowa, spławiają się codziennie statkami parowemi do Włocławka, zkad wywożone są przez Koło koleją żelazną za granicę, na użytek saskich fabryk albuminu. Wywóz ten odbywa się zwykle, poczynając od Kwietnia, i trwa do Listopada; początkowo wynosi on dziennie skrzyń 30, w dalszych miesiącach dochodzi do 60, tak, że przeciętno liczyć go można przez miesiący 7 na skrzyń 50, z których każda zawiera 24 kóp jaj. Znacząco dziennie 1,200 kóp, czyli 72,000 jaj. *Korespondent Płocki* podaje jako średnią cenę jaj w wymienionych okolicach zł. 5 za kopę, co razem tworzy przypuszczalną sumę 189,000 rs. dochodu rocznego dla tychże okolic. Pokup na jaja nasze jest nieustający, a rozszerzyć go jeszcze można, wywożąc jaja do Anglii, jak produkt spożywczy. Idą one tam, wywożone przez agentów niemieckich, i sprzedawane w Londynie jako jaja niemieckie i wraz z rzeczywistymi niemieckimi, uważane za towar gorszy i niżej płatny od jaj francuzkich i belgijskich. Już w Niemczech Południowych, w Bawaryi, w prowincjach nadreńskich hodowla kur się zmienia i przyjmuje gatunki poprawne, jedne ze względu na jaja, inne na mięso, i ten rynek

zbytu, jaki przedstawia Londyn, może się stać dla naszego towaru zamkniętym, jeżeli wywóz pod własną naszą firmą i na własną ręką prowadzony nie wyrobi tam sobie stosunków i nie utrwali się przez dobro towaru. Galicya wysyła kury w głąb Austrii i w miesiącu Sierpniu spotyka się na targach czeskich miejsc kąpielowych, z niewielkimi, bardzo smaczniemi pulardami, które zowią się tam w handlu polskimi i które znajdują amatorów, przekładających je nad duże, niemiernie tłuste pulardy i kurczęta styryjskie.

Drób i jaja nasze mogą dotąd liczyć na zbyt niemiecki, nawet w ilościach o wiele zwiększonych, aby przeciw gospodarstwo drobiowe, prowadzone na zasadzie ścisłego rachunku, dawało zyski odpowiednie, trzeba na to skrzętnie pracowitego i osobistego zajęcia się gospodyni samej, obywatela się, oile można, bez kosztownych wyręczycelek — trzeba pracować, przemiął wiek złoty...

— Papież przesłał dar wysokiego znaczenia, różę złotą, Amerykance, Miss Caldwell, która uczyniła na korzyść katolicyzmu ofiarę ogromną, jak na osobę prywatną: dała półtora miliona dolarów na założenie w Ameryce Uniwersytetu Katolickiego. Złota róża bywała dotąd udzielana przez papieżów jedynie niewiastom z rodu panujących i dopiero za naszych czasów dar ten papieżki, połączony z wysokim błogosławieństwem, dostał się kobiecie, ozdobionej jedynie koroną cnotliwej zasługi. Pierwszą, która ją otrzymała, była także Amerykanka, żona generała Shermana.

— Szlachetne stowarzyszenie francuzkich kobiet: „L'Union des Femmes de France“ odbywając doroczne swe zgromadzenie, przedstawiło sprawozdanie z czynności za rok 1886, przez usta sekretarki stowarzyszenia, M-me Lebraisseur.

Głównym celem stowarzyszenia jest opieka nad żołnierzami, walczącymi za francuzką ojczyznę; przeciw patryotyczne uczucie, które ożywia stowarzyszenie, pragnie działać kołem szerszem, i wszędzie, gdzie jest jakaś wielka klęska narodowa, jak zaraza, trzęsienie ziemi, pożar, głód, towarzystwo czynność swoją rozwija. Stowarzyszenie przesłało chorym i rannym żołnierzom francuzkim, przebywającym poza krajem, 61,840 fr., umożliwiając im powrót w strony rodzinne, przytem wydało dla tychże żołnierzy 22,331 fr. na pomoce lecznicze. W czasie cholery, która w lecie zeszłego roku panowała w Bretanii, Stowarzyszenie wydało 24,824 fr. w wioskach i małych miasteczkach, dotkniętych tą klęską. W prowincjach francuzkich, które uległy trzęsieniu ziemi, stowarzyszenie rozwijało także czynność opiekuńczą, tak pieniężną, jak osobistą, zajmując się losem chorych i starych, oraz dzieci, podobnie jak i w Nantes, gdzie po wielkim pożarze stowarzyszone znalazły się natychmiast z pomocą dobroczynną. Razem Stowarzyszenie obróciło na cele dobroczynnej działalności 640.700 fr.; w szkołach stowarzyszenia uczyło się 1.800 sierot po poległych, lub walczących za Francją żołnierzach. Prezydentką Stowarzyszenia jest Alzatka, M-me Koechlin-Schwatz.

— W Hiszpanii praktykują obecnie cztery doktorki; Dolores Alen w Barcelonie, Dolores Casanova w Gracia, Ludwika Domingo w Valladolid, Helena Masera w Villanueva. Wszystkie te panie ograniczają się najściślej do leczenia kobiet i dzieci. Dolores Casanova zyskała sobie szczególny rozgłos przez dobroczynne leczenie kobiet niezamężnych; że sama bogatą nie jest, że ogranicza się w życiu do koniecznych tylko potrzeb, przeto otacza ją wielkie uznanie, które już przekroczyło granice zamieszkiwanego przez nią miasta. Jestto jakoby świecka siostra miłosierdzia, której nazwisko zna i szanuje cała Hiszpania.

— Pierwsza w Danii kobieta lekarz, Fryderyka Nielson, praktykuje w Kopenhadze, także lecząc wyłącznie dzieci i kobiety. Nauki medyczne skończyła ze szczególnem odznaczeniem na uniwersytecie kopenhazkim.

— Na Szwedzkim uniwersytecie w Upsali studjuje obecnie dziewięć kobiet.

— Miss Agnata Francis Ramsey, która studowała w Girton College w Cambridge, stanawszy do ostatniego egzaminu już w samym uniwersytecie, otrzymała najwyższe stopnie z języków klas-

ycznych, to jest z łaciny i greczyzny. Żaden ze studentów nie miał podobnie jak ona wszystkich stopni celujących z zaletą. Młoda ta panna, bo nie skończyła jeszcze lat 20, jest przytem obdarzona bardzo miłym głosem i posiada talent muzyczny. Jest ona córką uczonego starożytnika; zaczęła się uczyć języków starożytnych w r. 1883. Zamiarem jej na przyszłość są studia nad greką i łacińską kobietą w starożytności.

— Niewieści uniwersytet, powstały z zapisu testamentowego aptekarza Holloway i darowany na własność Narodowi Angielskiemu „Royal Holloway College,“ w Eghan pod Windsorem, zostanie otwarty do publicznego użytku d. 4 Października b. r. Przewodniczącą będzie mis Bishop. Łacinę i język grecki wykladać tam ma kobieta, miss Teresa Dabis, opatrzona patentem nauczyielskim i stopniem uniwersyteckim magistra, otrzymanym od uniwersytetu w Cambridge.

— M-rs Scharlieb, która przez lat kilka praktykowała w Indyach, jako doktorka kobiet, została docentką przy Medycznej Szkole kobiecej w Londynie. Wykladać będzie medycynę sądową.

— Teresina Tua, znakomita artystka na skrzypcach, zaangażowała się do Ameryki na 220 koncertów, które mają się odbyć w przeciągu 14 miesięcy, w dwóch sezonach, a mianowicie: od 1-go października r. b., do 15 Kwietnia r. 1887, i od 1-go Października r. 1888 do 15 Kwietnia r. 1889. Za to otrzymuje artystka 120 000 marek, podróż kosztem zamawiającego ją impresaria dla niej i jej towarzyszy, i następnie całkowite utrzymanie w hotelach, także na dwie osoby.

— Największą pasiekę na świecie założyła w Stanach Zjednoczonych, w Serosis, miss Ludwika Thomas. Roczna produkcja otrzymywanego z niej miodu wynosi 10.000 funtów.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Spuścizna Kraszewskiego**, obejmująca bibliotekę i zbiory zmarłego pisarza, sprowadzona do Krakowa przez młodszego syna, Franciszka, któremu ojciec przekazał testamentem opiekę nad tą drogocenną częścią swego mienia, została powierzona panu Adamowi Milaszewskiemu na czasowe przechowanie i uporządkowanie. Trzy obszerne komnaty zapełniły się temi szacownymi skarbami, których część znaczna jeszcze rozpakowana nie została, a mianowicie wszystkie rękopisma znajdują się dotąd w pakach.

Biblioteka obejmuje 20,000 tomów dzieł w różnych językach, jeszcze nierozkasyfikowanych. Obrazów olejnych, między którymi mają się znajdować bardzo cenne, jest przeszło pięćdziesiąt; także olejnych pendzla Kraszewskiego trzydzieści kilka. Bardzo piękne są płaskorzeźby na kości słoniowej, przedstawiające ukrzyżowanie Chrystusa i biczowanie przywiązanego do słupa, oraz płaskorzeźby w alabastrze, także religijnej treści, a które książę Władysław Czartoryski pragnie nabyć do swego muzeum w Krakowie.

Między pamiątkowemi przedmiotami znajdują się orderzy zmarłego i jego łaski otrzymane w darze. Jedna z nich, z różanego drzewa, ze złotą, kunsztownie grawerowaną gałką, pochodzi od Polaków zamieszkałych w Ameryce. Druga, z prostą ołowianą rękojeścią, jest z Tuły i mieści w sobie pięć widoków stron tamtych — fotografii w miniaturze, lecz z powiększającymi soczewkami, a i to jest dar ziomeków ze stron dalekich. Na biurku, przy którym Kraszewski zwykle pracował, rozłożono kosztowne przedmioty pamiątkowe: staropolskie stołowe łyżki okrągłe, złote i srebrne z napisami i pięknie rzeźbionemi grawerowanymi rączkami, przytem kubki i puchary, solniczki starożytne, bogate i wytworne roboty. Na tymże biurku stoją malowane przez Kraszewskiego talerze, blisko dwa tuziny, a na każdym z nich jakiś napis humorystyczny, czy stare przysłowie lub aforyzm, wszystko opatrzone własnoręcznym podpisem tej ręki, która tyle arcydzieł skreśliła.

Starożytna broń sieczna w pochwach, kilka starych zbroi kompletnych, szyszak z wieku XIV, druciana koszula miedziana, napierśnik z malowanym na jego blasze obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, stanowią bardzo cenną część tych zbiorów. Są tu i antyki rzymskie, a między niemi kilka bardzo starych, różnego stylu kałamarze, wykopaliska pompejańskie i starsłowiańskie, rzadkie zbiory ceramiczne, oraz wiele wykopalisk bronzowych i żelaznych; kolie, zausznice, naramienniki niewieście, tak ciężkie, że patrzacemu na nie wyobraźnia musi przedstawiać obrzymki, zdolne się stroić w takie kilkunastowe ozdoby.

Klepsydra, w żelazo oprawna, wskazująca godziny i półgodziny, jest tak dokładnego wymiaru, że nie chybia ani pół minuty. W pobliżu oko spotyka spiżową armatkę, przeszło łokciowej długości śmigownicę, która była własnością Stanisława Augusta. Przeznaczeniem jej było strzelać na wiwat i strzelała też, strzelała nierzadko!...

Niedaleko tej hołbowej pamiątki znajduje się własnoręcznie wydane na piśmie dla rodziny Kraszewskich błogosławieństwo księdza Marka, mające bronić i od niebezpieczeństwa zasłaniać te „sługi Najświętszej Panny,“ tych Sodalistów Marianów, którzy szli życie swojej obranej sprawie poświęcać.

Obok tych pamiątek drogie, obok mnóstwa statuetek i płaskorzeźb w terrakocie, znajdują się rzeźby i bronzowe odlewy Lenartowicza, a dalej rzeźby, rysunki drobne malowidła i widoczki rozmaite, miedzioryty, muzyczne kompozycje Kraszewskiego. Czego ten genialny człowiek w pięknostwie myślał nie ogarniał, ręką nie dotknął! Ze tych pozostałych po nim relikwii rozproszyc się nie godzi pod karą grzechu świętokradstwa, że wszystkie razem zgrupowane powinny utworzyć muzeum jedno — zgadzać się muszą nietylko wielbiciele jego geniuszu, ale wszyscy ci, którym są drogie chwały narodowe.

— **W jednodniowce**, wydanej w Stanisławowie na pamiątkę zjazdu pedagogów, znajduje się wyjątek z dawnych akt szkolnych Galicyi. Istniały tam wtedy przy każdej szkole powiatowej dwie księgi: „Ehrenbuch“ i „Buch der Schande“ gdzie zapisywane w ciągu roku chwałebne lub naganne postępy uczniów na egzaminie publicznym odczytywanymi były. Otóż w *księdze hańby* zapisano w r. 1821, trzech uczniów II-giej klasy: „Für das beständige polnisch Sprechen und dergleichen Lumpereien.“

Wydaniem jednodniówki zajął się Stanisławowski oddział Towarzystwa Pedagogicznego. Dochód z wydawnictwa zostanie użyty na rzecz kolonii wakacyjnych; cena jest stosunkowo tania: 50 ct. za egzemplarz, który już ozdobnym nazwać można. Na czele zamieszczony jest piękny wiersz prof. Parylaka: „Witajcie!“ następnie błogosławieństwo księdza biskupa Pełusza: „Mir Wam!“ Przeszło 50 aforyzmów i artykulików prozą i wierszem złożyło się na całość; dziwić się tylko trzeba, że spotyka się wśród tego jedno tylko nazwisko kobiety: Janiny Antonowiczówny.

List naiwnej Wiedni do przyjaciółki po powrocie z podróży.

Bogu niech będą dzięki, że jesteśmy już z powrotem w Wiedniu! Ah, moja droga, niezdolasz wyobrazić sobie, co to jest podróż alpejska! Podróżować — a la bonheur! Ale jak? W wagonie balkonowym, powozem, dla rozrywki kawalek pocztą, a nawet maleńka piesza przechadzka, potem odpoczynek w porządnym hotelu, śniadanie szwajcarskie o godzinie jedenastej, toaletta do pierwszej, table d'hôte za 10 fran. i t. d.; ah, to rozumiem i taką podróż odbywam z przyjemnością. Ale mój mąż, wszak wiesz jaki on zapalony do górskich wycieczek! Ja jestem, bezwątpienia również ich zwolenniczką, wiesz o tem również dobrze, jak i to, że lubię bardzo przyglądać się górom, ale o tyle, oile nie potrzeba

wdziewać kolosalnych trzewików, wstawać o godzinie piątej rano i pędzić jak oszalały posłaniec, przyczem, nieuniknionem jest popuszczenie sobie cery, zniszczenie toalety i nadwężenie nóg, a to wszystko dla podziwiania wschodu lub zachodu słońca, które z terrasy hotelowej można by daleko wygodniej obserwować. Ale z moim mężem nikt nie poradzi—wiesz o tem dobrze. Już w Maju układał projekta, ze swoim przyjacięciem, znasz przecie tego doktora, zawsze przyjemny człowiek, lecz w tym punkcie jeszcze bardziej zwaryowany niż mój mąż projekta, które mi dreszcze sprawiała. Przez całe noce śniły mi się wierzchołki, gleczerzy i inne, już nie wiem jak się nazywają, karkołomne rzeczy, a co wieczór, ci dwaj panowie, mój mąż i doktorek, przyrzekali mi takie cudowne widoki, jakbym podobnej podróży jeszcze nigdy nie odbywała. Doktor przedstawił mi jak na dłoni całą marszrutę: koleją południową przez Linz i Fusslerthal, później pieszo przez — ale, mój Boże, jakże się nazywa — przez — nie — przez Stillserjoch do Pusterthal i Arlberg do Jeziora Królewskiego—jeżeli dobrze zapamiętałam — wszak wiesz, moja droga, że na pensyi z geografii miałam zawsze stopień celujący, ale jako kobieta, nie mogę przecież zajmować się takimi bagatelami! A nieznośny doktor śmiał się do rozpuku, gdy nie wiedział, czy od Glocknera jedzie się do Meranu, czy też odwrotnie! To mnie gniewało. Lecz to był dopiero początek moich tortur!

Czy wyobrażasz sobie, moje życie, cośmy zabrać mieli ze sobą na tę *sois-disant* podróż? Notabene, podróż, która miała trwać cztery tygodnie. Przypominasz sobie zapewne równie dobrze, jak ja, wyjazd radczyni Zierlich do wód: zabrała dziesięć kufrów i czternaście pudełek,—ja sama przeliczyłam najdokładniej. A wiesz cośmy zabrać mieli?—ani jednej skrzyni, ani jednej walizy, ani jednego pudełka, nie, prócz małego tłómczka, który mój mąż postanowił sam nosić na plecach! Co ty na to? Rozumiesz, że dowiedziawszy się o tem, objawiłam stanowczo, że nie pojedę. Mój Boże! co prawda, nie jestem radczynią Zierlich, ale trzy lub cztery toalety i niezbędną bieliznę trzeba przecież zabrać, by nie wyglądać jak posłaniec. Wiesz, co mój mąż na to? Śmiał się. A doktor śmiał się jeszcze głośniej. Utrzymywał, że jadąc w góry, trzeba zabierać jaknajmniej rzeczy ze sobą. Tak, ale co może wiedzieć mężczyzna, i do tego jeszcze kawaler, o potrzebach kobiet? W dobroci serca dałam się przekonać, że w górach inaczej podróżować nie można; chociaż, co prawda, pojąć tego nie mogłam. Oh! gdybym była pojęła, to dziecięciu panów nie byłoby mnie zachęciło do takiej podróży.

Przez dwie godziny płakałam. Podróżować bez bagażu jak cyganie. Co ludzie sobie o tem pomyślą! A ta szalona myśl mego męża: noszenia tłómczka na plecach, zupełnie jak jaki proletaryusz. No, patrzaj, jeszcze utrzymują, że my, kobiety, jesteśmy przesadzonemi i zarozumiałemi! Ale poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Mój mąż powiedział mi, uśmiechając się, że mi każe zrobić bardzo piękną i praktyczną toaletę. Cieszyłam się z tego bardzo, lecz, naturalnie, radości nie objawiałam, myślałam — rozumiesz — o owym skromnym, ale dystyngowanym kostiumie podróżnym, jaki miała radczyni.

Następnie, ponieważ doktor pewnego razu wspomniął o stroju alpejskim, wyobrażałam sobie, że musi to być coś w rodzaju tego, co widziałam na ostatnim balu turystów. Przypominasz sobie: jedwabny staniczek z szamerowaniami i szeroki słomiany kapelusz z niebieskimi wstążkami—myślałam, że mi w nim będzie bardzo

do twarzy. Co prawda, do podróży, podobny kostium jest cokolwiek za krzyżącym, ale dla mego męża mogę taką ofiarę ponieść, tembardziej, że wygląda się w takim stroju bardzo ładnie. Skutkiem tego przez pewien czas podróż ta mnie nęciła. Przypomniłam sobie wypadkiem historią, którą jeszcze za czasów panienskich czytałam: o pewnej pięknej pasterce, która podobnie wiejski strój nosiła: skromny kapelusz z niebieskimi wstążkami, aksamitny stanik i bufiaste rękawy—ah, jak pięknie wyglądał jej portret na karcie tytułowej. Zjawił się niespodzianie młody, przepiękny i bogaty książę i zakochał się w niej—wszystko to było tak cudownie opisane, że historią tę przynajmniej z dziecięcej raży przeczytałam.

Nie wiem, doprawdy, dlaczego właśnie w tym czasie przypomniałam ją sobie, lecz dowodzi to, że byłam poetycznie usposobioną.—Wszak przypominasz sobie, że ja do powieści oddawna miałam wielką słabość. Wielki Boże, jak nisko miałam spaść z tych rozkosznych marzeń!

Przyniesiono kostium. Heleno, jak ci tę chwilę opisać? Jeszcześ pewnie za życia nie przebyła takiego strapienia, abyś mogła z mojem współczuć. Wyobraź sobie, kochana Heleno, przyniesiono mi zupełnie gładką suknię z szarego grubego materiału, bez panier, bez tablier, bez plicowania, bez najmniejszej ozdoby, bez guzika, jednym słowem: kitel, najzwyczajniejszy kitel! A przytem kaftan podobnie skrojony, co mnie do rozpaczy doprowadzało.

Tak muszą wyglądać kobiety odsiadujące karę w więzieniu, i to mi odrazu na myśl przyszło, oile w ogóle byłam w możności po tem wszystkim zebrać myśli. Do tego wszystkiego kapelusz—doprawdy nie wiem jak ci go opisać—gdyż było to nic więcej, jak kawał grubego filcu, otoczonego sznurem, jako jedyna ozdoba, jednym słowem nakrycie głowy, jakie tylko doróżkarz może nosić. A trzewiki, Heleno! wiesz, że mam bardzo małą nogę, mogę to wyznać bez posądzenia mnie o zarozumiałość, powiedział mi to bowiem mój mąż, zanim sama spostrzegłam—ale w tych trzewikach musiałam wyglądać jak słoń. A podszwa jak mój mały palec, skóra tak gruba i twarda, że na sam widok nogi mnie rozbolewały. I to była toaleta, w której przez cztery tygodnie miałam przebywać między ludźmi, między obcymi!

Skończyły się piękne marzenia o pasterce w aksamitnym staniku i niebieskich wstążkach. Śmiałam się. Śmiałam się w samej rzeczy, wiedziałam przecie, że mąż, który mi przysięgł miłość i wierność przed Bogiem i ludźmi, do podobnych rzeczy mnie nie przymusi. To był żart, mówiłam sobie, nic więcej tylko prosty żart. Ażeby go sobie jeszcze bardziej obrzydzić, przymierzyłam ten, tak nazwany, kostium. Mąż utrzymywał, że mi w nim bardzo do twarzy, i że dopiero w podróży przekonam się, jak jest praktycznym. Powiedział to tak poważnie, że mi wszystka krew do serca zbiegła. Ale, pomimo to, panowałam jeszcze nad sobą. „Nie przypuszczasz, sądzę, że ja tak ubrana po za próg wyjdę?—zapytałam go litościwym głosem:—„Zapewne—odpowiedział z ironicznym uśmiechem, który znam aż nadto dobrze — nie tylko przez próg, ale nawet pojedziesz do Karyntyi, Tyrolu, Szwajcaryi i t. d.“ „Mężu!“ Nie miałam nigdy talentu do gry dramatycznej, ale to był wykrzyk, którego-by się panna Wolter nie powstydziała—czułam to doskonale. Heleno, wiesz o tem najlepiej, że nie byłam nigdy zarozumiałą ani zalotną, jakkolwiek miałam do tego podniętę; nawet powiem ci, że jeszcze dzisiaj obcy ludzie uważają mnie za panienkę; jestem przekonana, że stara radczyni,

Zierlich, lub jak noc brzydka pani Funkelstein wydają rocznie trzy razy więcej na toalety niż ja, a o baronowej z drugiego piętra niema nawet co i mówić, gdyż mąż jej co tydzień długi rachunek z krawcową musi regulować, ażeby wpośród swego tuzina dobrze się wydać (wczoraj znowu jedno przybyło); dla przypodobania się swemu mężowi, kazałam przerobić sobie suknię z przeszłego roku za dwadzieścia pięć guldenów, którą zwykle po domu noszę, a to jedynie dlatego, aby mu dowieść, że jestem oszczędną gospodynią, a nie kosztowną lalą. Ale w tym kitlu wybrać się na dłuższą podróż—było nad moje siły.

Co ci jeszcze mam o tym najstraszniejszym dniu w życiu mojem, droga przyjaciółko, powiedzieć? Prosiłam, płakałam, tłómaczyłam, że w żaden sposób nie pojedę; a mama moja, jak wiesz, najpraktyczniejsza osoba na świecie, będąc wypadkiem obecną tej scenie, robiła wszystko możliwe, by mnie od tych mąk uwolnić — wszystko jednakże było nadaremne. Mój tyran, był nim bowiem wówczas bezzaprzeczenia, pozostał niewzruszonym jak granit. „Albo pojedziesz w tym kostiumie, albo sama w domu zostaniesz“ — odpowiadał stereotypowo na nasze wywody i próby. Jak na nieszczęście, zjawił się jeszcze doktor i począł podobny kostium pod niebiosa wychwalać; powiadam ci, że byłabym mu w tej chwili z największą przyjemnością oczy wydrapała; gdyby nie on bowiem, byłby mój mąż może ustąpił. Wszystko było stracone, w uszach dzwieniczyły mi nieustannie wyrazy: praktyczny, logiczny, rozsądny, zupełnie jakbym była najgłupszą lalą malowaną, na tym naszym bożym, pięknym świecie. Doprawdy, nie mogę pojąć, dlaczego zniosłam to wszystko tak spokojnie. W końcu wyczerpałam się tak, że już na nic uwagi nie zwracałam i nic nie słyszałam. Wielki Boże, przedtem nigdy nie przypuszczałam niczego podobnego o mężczyznach! A szczególnie ten doktor, który zawsze tak był przyjemnym, wyrozumiałym, nadskakującym, w tej chwili wydawał mi się szatanem.

Namysł mój jednakże nie długo trwał; postanowiłam po tej scenie stanowczo w domu zostać. Niechby sobie pojechał, ten nieczuły małżonek wraz ze swoim doktorem, a biedna żona w spiekocie miejskiej pozostanie—słomianą wdową. Przez dwa dni nie rzekłam do niego ani słówka. Dotąd zwykle to pomagało, lecz tym razem był Leon niewzruszonym. Rozumie się, że przyczyną tego wszystkiego był sławetny doktor. O, chciałabym była tylko słyszeć, jak on go buntował!

Wkońcu zaczęłam sobie tę rzecz przekładać. Pozostać naprawdę nie mogłam. Coby bowiem o tem ludzie mówili? A potem nie zyczyłam sobie w żaden sposób, aby mój mąż sam odbywał podróż. Nie dlatego, abym się obawiała, że on — znasz mnie przecie z tej strony—lecz mogły przyjść okoliczności, że mój mój, do tego z tym doktorem — nie, to nie powinno było mieć miejsca—i zdecydowałam się ponieść na ołtarzu miłości jeszcze tę jedną ofiarę.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon; oraz arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabusson.

TREŚĆ: Królewskie Swaty. — Pogawędka. — Filistry, powieść (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicza. — Zaćmienie słońca. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili. — List naiwnej Wiedenki do przyjaciółki po powrocie z podróży.

Dodatek obejmuje: Dokończenie powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon; oraz arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Dzisiejsi**, przez H. Rabussona. — 33 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozytya stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 22 июля 1887 года

Część szlaku do serwety wywlekana, dzierganą i klockową robotą.

Rycina Nr 1 w Blu. Nr 28.

Szlak wykonany na płótnie, średniej grubości białymi niemi i krętą bawełną. Na górny szlaczek przezroczysty należy wywlec 20 nitki tkaniny, przez całą długość szlaku i zamocować brzegi robotą mereszkową, po 4 nitki razem ściągając jednym ścięciem. W środku luźne nitki w następujący sposób przerobić: * 1 nitki poprzednie i 4 następne połączyć jednym ścięciem, z powrotem ostatnie 4 nitki owinąć, połączyć jednym ścięciem z następującymi 4 nitkami, z powrotem ostatnie 4 nitki owinąć, od * powtórzyć. W dalszym ciągu roboty następujące 6 nitki tkaniny pozostawić nietknięte, poczem na trzy rzędy kratki, 3 razy naprzemian: wywlec wzdłuż i w poprzek po 6 nitek, pozostawiając po 20, poczem jeszcze raz wywlec 6 nitek wzdłuż roboty, obrzucić kanty, zamocować przecięte nitki ścięciem dzierganym i powtórzyć jeszcze raz poprzedni górny przezroczysty szlaczek. W ten sam sposób należy wykonać następujący trójkącik, wywlekając nitki uważnie podług deseni, poczem brzegi zakończyć ścięciem dzierganym w zęby, niepotrzebne płótno powycinać, a brzegi przyzdobić ścięciem rybiej łuszczyki, białą bawełną. Koronkę klockową wykonać niemi koronkowemi Nr 80, jednastowoma parami klocków, podług ryciny Nr 2. Zamocowawszy wzorek na wałeczku poduszki, wpiąć po jednej szpilce w dziurkę 1 do 4, zawiesić na 1, 3 i 4 szpilce po 3 pary klocków, na drugiej szpilce 2 pary, poczem 1 podwójny ściąg 1 i 2 parą, 1 podw. ściąg 3 i 4 parą, szpilkę wpiąć między te pary w dziurkę 5, zamknąć takową jednym podw. ścięciem, obie pary raz okręcić. Na brzeżek koronki 1 podw. ściąg 2 i 3 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 6, podw. ściąg 2 i 1 parą, 1 parę raz okręcić, 1 podw. ściąg 2 i 3 parą, pół ścięgi 5 do 11 par.; wpiąć szpilkę w dziurkę 7, pół ścięgi 11 do 5 pary, szpilkę wpiąć w 8 dziurkę, pół-ściąg 5 do 7 pary, pół-ściąg 11 do 8 pary, 1 pół ściąg 8 i 7 parą, szpilkę wpiąć w 9 dziurkę, zamknąć, pół-ściąg 8 do 11 pary, szpilkę wpiąć w dziurkę 10, zamknąć, * pół-ściąg 11 do 8 pary, szpilkę wpiąć w dziurkę 11 i zamknąć, pół-ściąg 7 do 4 pary, szpilkę wpiąć w dziurkę 12, pół-ściąg 4 do 7 pary, szpilkę wpiąć w dziurkę 13, pół-ściąg 7 do 4 pary, 4 i 3 parę raz okręcić, 1 podwój. ściąg 4 i 3 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 14, zamknąć obie pary, okręcić, 3 pierwszemi parami brzeżek, wpinając szpilkę w dziurkę 15, pół-ściąg 4 do 6 pary, szpilkę wpiąć w 16 dziurkę, pół-ściąg 6 do 4 pary, 4 i 3 parę okręcić, 1 podwójny ściąg 3 i 4 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 17, zamknąć obie pary, okręcić, 3 pierwszemi brzeżek, wpinając szpilkę w 18 dziurkę, pół-ściąg 9 do 11 pary, szpilkę wpiąć w dziurkę 19, pół-ściąg 11 do 9

pary, szpilkę wpiąć w 20 dziurkę, pół-ściąg 9 do 11 pary, szpilkę wpiąć w 21 dziurkę, pół-ściąg 11 do 9, 7 i 8 parę raz okręcić, pół-ściąg 7 do 8 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 22, zamknąć obie pary, okręcić, pół-ściąg 4 do 7 parą szpilkę wpiąć w dziurkę 23, pół-ściąg 7 do 4 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 24, pół-ściąg 4 do 7 parą, 3 i 4 parę okręcić, 1 podw. ściąg 3 i 4 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 25, zamknąć, poczem 3 pierwszemi parami brzeżek, wpinając szpilkę w dziurkę 26, pół-ściąg 8 i 9 parą, szpilkę wpiąć w dziurkę 27, pół-ściąg 8 do 11 pary, szpilkę wpiąć w 28 dziurkę, pół-ściąg 11 do 7 pary, szpilkę wpiąć w 29 dziurkę, pół-ściąg 7 do 11 pary, szpilkę wpiąć w 30 dziurkę, pół-ściąg 11 do 5 pary, szpilkę wpiąć w 31 dziurkę, pół-ściąg 5 do 8 pary, szpilkę wpiąć w 32 dziurkę, pół-ściąg 7 do 11 pary, szpilkę wpiąć w 33 dziurkę, od * powtórzyć.

Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat szyldełkową robotą.

Rycina Nr 26 do 31 w Blu. 28.

Sukienka z krętej bawełny kremowego koloru, na spódniczce z niebieskiej lub pasowej satyny. Robotę należy rozpocząć od dolnego brzegu spódniczki, na założeniu z 1452 oczek, połączony pierwszy oczko z ostatnim, należy wykonać 242 razy po 5 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 6 o. z rzędu założenia. Kolej 2; robotę odwrócić: 3 o. ściś. w ostatnie 3 ocz. poprzedniej kolej, poczem ciągle naprzemian: 5 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w środkowe z poprzednich 5 pow. ocz. (ostatnie ocz. tej kolei powinno trafić na 3 ściś. ocz. tej kolei). Kolej 3 do 53 jak poprzednio, wrabiając rządek podług ryciny 30. Na każdą gałązkę zrobić łańcu-

szek z 25 pow. ocz., na ostatnich 11 wykonać listek pierwszy sposobem następującym: 1 ocz. opuścić, 1 ściś. ocz. w następne ocz., 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. co drugie ocz., poczem 1 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w 3 z rzędu ocz., wreszcie 22 ściś. ocz. na około listka, oddzielając pikotami 5 i 6, 8 i 9, 11 i 12, 14 i 15, 17 i 18 ocz., na samym końcu listka należy wykonać 2 ściś. ocz. Na łądę 6 ściś. ocz. w kolejne 6 ocz., poczem na kwiatek 22 pow. ocz., z powrotem na 8 ostatnich: 1 ocz. opuścić, 1 pół-słup., 3 słup., 1 pół-słup., 1 ściś. łańc. ocz. w kolejne 7 ocz., robotę odwrócić, w dalszym ciągu 1 pow. ocz., 1 ściś. ocz., 1 pół-sł. 2 słup. w następne 4 ocz., 8 pow. ocz., 1 ściś. łańc. ocz. w ostatnie z 22 ocz., robotę odwrócić, 3 razy po jednym łuku z 1 pow. ocz., 3 słup., 1 pow. ocz. 1 ściś. ocz., poczem 6 ściś. ocz. w kolejne 6 ocz., 4 ściś. łańc. ocz. w kolejne 4 ocz., 20 pow. oczek, ostatnie 10 zamknąć 1 ściś. ocz., 20 ściś. ocz. w kółeczko, 10 łuków jak poprzednio, 8 ściś. ocz. na łądę; 14 ściś. ocz. w swobodne dotąd pow. ocz. z poprzednich 22 pow. ocz. i w 4 z poprzednich 25 poczem na jeden listek 12 pow. ocz., spoić z środkowym słup. jednego łuku gwiazdki, z powrotem 2 ocz. opuścić, 6 słup., 1 ściś. ocz. w kolejne 7 o., 3 ściś. ocz. w następne 3 ocz., 4 ściś. ocz. w pozostałe swobodne ocz., 1 ściś. ocz. łańc. w pierwsze ocz. gałązki, poczem do następnej gałązki wykonać 11 łuków tła. W 5 kolei należy ściś. ocz. tła przerobić 2 pikot listka i w ten sposób w dalszym ciągu roboty umocować gałązki na tle podług wzoru. Wykonawszy 53 koleje, należy złożyć spódniczkę w kontrafałdy, poczem w 54 kolei należy złożone fałdy przerabiać, jakby jedną koleją oczek podług deseni. Kolej 55; robotę odwrócić: 2 ściś. ocz. w najbliższe 2 pow. ocz., 7 pow.

ocz., poczem ciągle naprzemian: 1 podw. słup. w 3 kolejne pow. ocz., 3 pow. ocz., w końcu 1 ściś. ocz. łań. w 4 z pierwszych 7 pow. ocz. tej kolei. Kolej 56 do 60 jak poprzednio, w 60 kolei wszakże, zamiast 3, wykonać tylko po 2 pow. ocz. Na środek pleców wykonać dwie wstawki z samych gałązek, jak na spódniczce, połączonych ze sobą kilkoma kolejami wzdłuż roboty. Na dalszy ciąg stanika należy przerobić deseń z ryciny 29; jeden listek od drugiego powinien być oddzielony 7 łukami tła. W tym celu należy we właściwych punktach roboty, założyć na rzucik po 14 pow. o. na których z powrotem wykonać listek jak poprzednio. Dla nadania staniczkowi właściwej formy, trzeba stosownie do tej ostatniej zmniejszać lub powiększać liczbę oczek, na rękawek spoić po 15 gwiazdek i zakończyć takowe szlaczkiem podług ryciny 27. Górne zakończenie staniczki stanowi wązki karczek z gwiazdek połączonych w rząd i zakończonych tak jak rękawek, kilkana kolejami wzdłuż roboty. Na przednią część karczka połączyć 13 gwiazdek, na ramiączko 6, na każdą połowę



Nr 1. Sukienka dla młodych osób. Plecy. (Do ryc. 10). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25-34.

Nr 2. Sukienka z beżu i repsu „ottoman“. Przód. (Do ryc. 11). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1 do 12.



Nr 3. Deseń na ściereczkę do filiżanek gałązkowym ścięciem.

pieców po 7, poczem jedną koleją połączyć karczek z brzeźnami oczkami stanika. Połączenie stanu ze spódniczką przykrywa pasek z gwiazdeczek, zakończony z dwóch brzegów szlaczkiem podług ryciny 27, kokardki z kolorowej wstążki przyszyte na ramieniu, uzupełniają sukienkę.

Ozdobne powłoczki na poduszki.

Rycina Nr 8 — 10 w Blu. Nr 30.

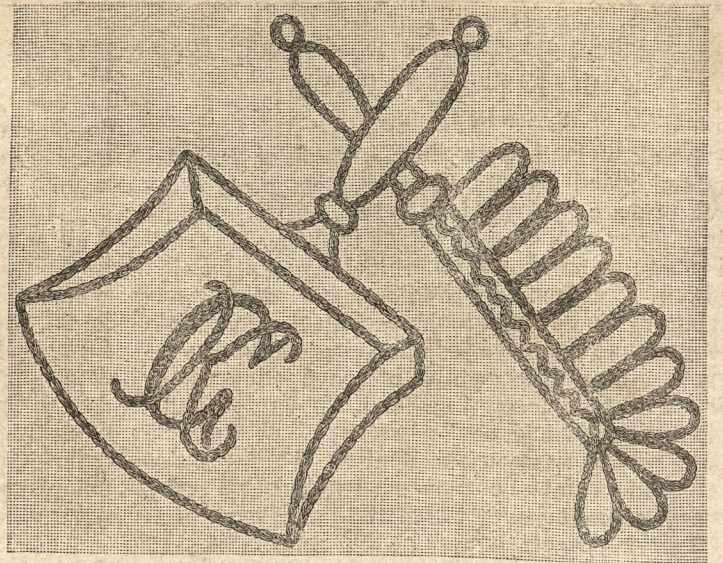
Na powłoczkę pod ryc. 8, wziąć dwie po 76 c. wysokie, a 85 cent. szerokie części materiału, zeszyć je wzdłuż ze sobą, obrębić w dole na 3 c. szeroko, zrobić podkład, obrócić dziurki do zapinania i ozdobić powłoczkę szydełkową wszywką

się poprzedni wzór zupełnie powtarza. Odpowiednia koronka robi się na zaczęciu z 52 ocz., również rzędami stosownie do wzoru wszywki i podług ryciny dokładnie wskazujący deseń.

Koszyczek ogrodowy ozdobiony haftem i robotą szydełkową

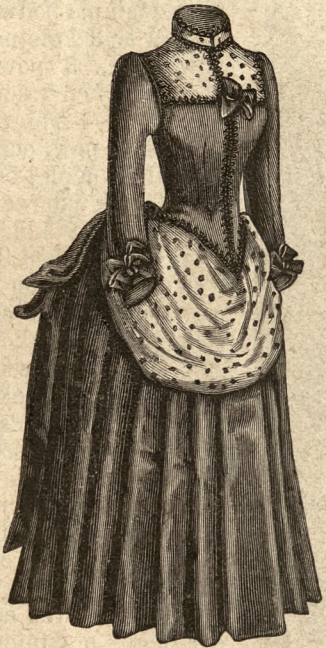
Rycina Nr 18—21 w Blu. Nr 30.

Z trzciny i zielonawej brzeziny upleciony koszyczek, ozdobiony z zewnątrz szlakiem z szydełkowej roboty, a wewnątrz haftowaną częścią wykonaną na popielatej kanwie „Aida”. Haft wykonać pasową i oliwkową bawełną, krzyżykami oraz Holbeina ścięciem. Ryc. 18 podaje wzór na boczne ścianki, a ryc. 19 wzór na spód koszyczka. Szlak podany w naturalnej wielkości pod ryciną 20, robić grubą, jasno i ciemno-oliwkową świecąca przędzą. Szlak ten składa się z pojedynczych kwadratów, połączonych z sobą i obróbnymi następnie wzdłuż kilkoma kolejami. Na każdy kwadrat zrobić z ciemnej przędzy 8 pow. ocz., złączyć je w kółko 1 ścis. łańc. ocz. i robić w kółko nich jak następuje. Kolej 1: 4 razy naprzemian: 3 pow. ocz., 3 ści. ocz. w kółko, w końcu 1 ści. łańc. ocz. w poprzednie ści. łańc. ocz. Kolej 2 jasną przędzą: * 2 podw. słup. rozdzielone 3 pow. ocz., w następne 3 pow. ocz., 3 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 podw. słup. w następne



Nr 4 Deseń na ściereczkę od kurzu gałązkowym ścięciem

w drugi ząbek, wtedy 7 pow. ocz., 1 ści. oczko w następny ząbek następnego kwadratu, 2 razy naprzemian: 7 pow. ocz., 1 ści. ocz. w drugi ząbek, wtedy 3 pow. ocz., 6 razy naprzemian: spuścić oczko z szydełka, środkowe z poprzednich 7 pow. ocz. i spuszczone ocz. zebrać na szydełko i 1 ocz. przeciągnąć, wtedy 4 pow. ocz., 1 odwrotny pik., 4 pow. ocz., 1 ści. ocz. w pierwsze oba jednym ocz. przeciągnięte ocz., 4 pow. ocz., 1 pik. odwrotnie, 4 pow. ocz., od * powtarzać. Ciemną przędzą kolej 2: * 1 ści. ocz. w środkowe z następnych 5 pow. ocz. poprzedniej kolej, 3 pow. ocz., † 1 ści. ocz. w 3 z 4 pow. ocz. następujących po następnym ści. ocz., 2 pow. ocz., 1 ści. ocz. w o. pow. następujące po przewrotnym pik., 2 pow. o.,



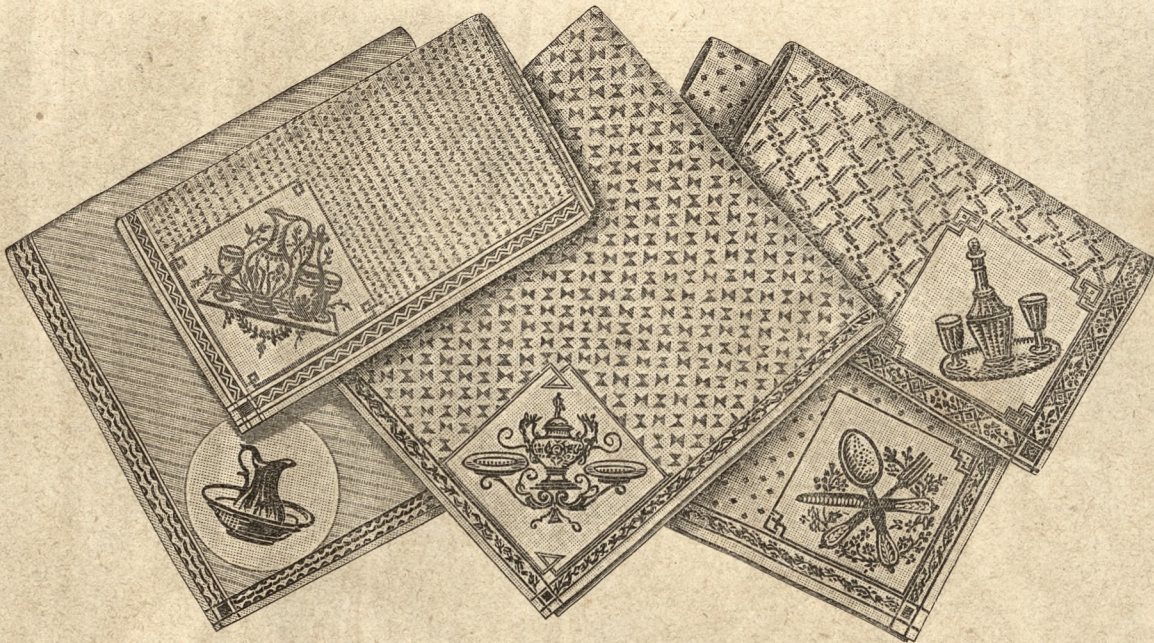
Nr 10. Suknia dla młodych osób. Przód. (Do ryc. 1)

i takąż koronką podług ryciny (patrz ryc. 12 i 13). Ryc. 9 podaje ułożoną powłoczkę płócienną, której wierzchnią część 72 cent. szeroką, a 77 cent. długą obdzierać w ząbki, wyhaftować w muszki podług ryciny, następnie ozdobić 10 cent. wysokim, a 8 cent. szerokim monogramem, który wykonać białą bawełną, płaskim, sznureczkowym i stębnowanym ścięciem. Oprócz tego w odstępie 7 cent. od brzegów, zrobić w powłoczce 4 c. szerokie dziurki, w 5 cent. odstępach od siebie, przez które przewlec pasową atlasową wstążką i związać ją w narożnikach w kokardy. Spodnią część powłoczki zrobić 66 cent. szeroką, a 70 c. długą i zeszyć ją z wierzchnią, a następnie zapiąć na spinki. Powłoczka pod ryc. 10 z płótna, oszyta 7 cent. szeroką haftowaną falbanką. Na każdą z wyżej opisanych powłoczek, wychodzi 265 cent. płótna szerokiego na 205 cent., które zeszyć z trzech stron, a w czwartym brzegu obrócić dziurki do spinek, a następnie dopiero ozdabiać haftem lub koronkami.

Wszywka i koronka szydełkową robotą.

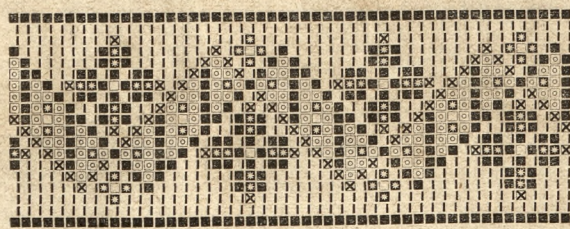
Rycina Nr 12 i 13 w Blu. Nr 30.

Wszywkę z narożnikiem, oraz do niej odpowiednią koronkę robić świecąca przędzą Nr 60, w poprzek kolejami, deseniem naśladowującym siatkową gipiurę. Wzór nasz składa się z rzędów wzorków, z których każdy składa się z 2 kolej, jednej tam idącej i drugiej powrotnej, w której



Nr 5 do 9. Ściereczki gospodarskie z wrabianymi deseniami. Opis odwr. str. tabl.

pne ści. ocz., wtedy 1 pow. ocz., od * 3 razy powtórzyć, w końcu 1 ści. łańc. ocz. w 1 podw. sł. tej kolej. Kolej 3 ciemną przędzą: * 4 ści. ocz. przedzielone 5 pow. ocz. w następne 3 pow. ocz., 4 razy po 2 ści. oczka przedzielone 5 pow. ocz. w następne pow. ocz., wtedy od * powtarzać; na koniec 1 ści. ocz. łańc. w 1 ści. ocz. tej kolej. W ten sposób robi się kwadrat; każdy następny robić tym sposobem, z tą jednak różnicą, aby kończąc go, przyczepić do poprzedniego. Po wykonaniu i połączeniu ze sobą odpowiedniej ilości kwadratów, obrócić ją z jednej strony na górny brzeg szlaku jasną przędzą jak następuje. Kolej 1: * 1 ści. ocz. w 1 pow. ząbek, przedzielający 4 ści. ocz., w narożniku następnego kwadratu. 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w drugi pow. ząbek, 4 o. pow., 1 odwrotny pikot (to jest: 5 pow. ocz. w 1 z tychże) 7 pow. ocz., 1 ści. ocz. w następny ząbek, 2 razy naprzemian: 7 pow. ocz., 1 ści. ocz.



■ pierw (najc.), * drugi, □ trzeci (najjaś.) niebieski, □ pasowy, □ złoty, † tło. Nr 12. Szlak do serwet krzyżową robotą.

od † 2 razy powtórzyć; wtedy 1 pow. ocz. i od * powtarzać. Kolej 3 robotę odwrócić i na oczkach poprzedniej kolej z powrotem ciągle: 1 ści. ocz. w każde ocz. Kolej 4 jak 3. Kolej 5 jasną przędzą: * 1 ści. ocz. w następne ocz., na 1 ząbek 4 pow. ocz., na nich z powrotem idąc, 1 ocz. ominąć, 1 ści. ocz., 1 pół-słup., 1 słup. w następne 3 ocz., 2 ocz. ominąć, od * powtarzać. Ciemną przędzą 6 kolej, ciągle naprzemian: 1 ści. ocz. w wierzchołek następnego ząbka, 2 pow. ocz. Kolej 7 i 8, jak 3 i 4 kolej. Po drugiej stronie szlaku robić jasną przędzą * 1 ści. ocz. w następny ząbek we wgłębieniu, 1 pikot (to jest: 5 pow. ocz., 1 ści. ocz. w 1 z tychże) 1 ści. ocz. w następny ząbek, 2 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 pik., 2 pow. ocz. 1 ści. ocz. w drugi ząbek, wtedy 1 pow. ocz., 1 pik., 2 razy naprzemian: 5 pow. ocz. i 1 ści. ocz. w 1 pow. ocz. pikotu, wtedy 2 pow. ocz., 1 ści. o. w drugi ząbek, 2 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 pik., 2 pow. ocz., 1 ści. ocz. w drugi ząbek, wtedy 1 pik., 1 ści. ocz. w następny ząbek, od * powtórzyć. Pałeczek koszyczka ozdobić podług ryciny szlakiem z jasnej i ciemnej oliwkowej hamburskiej włóczki, oraz mniejszymi i większymi włóczkowymi galkami. Szlak robić jak następuje: Jasną włóczką kolej 1, ciągle naprzemian: 5 pow. ocz., 1 słup., 1 podw. sł. w 2 z tychże. Kolej 2 ciemną włóczką: * 1 ści. ocz. w 1 z następnych 5 pow. ocz., 2 pow. ocz., 2 podw. sł. przedzielone 2 powietrznymi oczkami, w czwarte ocz., 2 powietrzne oczka, od * powtarzać. Kolej 3 po



Nr 11. Suknia z beża i repsu „ottoman”. Plecy. (Do ryc. 2).



Nr 13. Szlak do bielizny białym haftem.

drugiej stronie szlaku, we właściwe oczka, jak kolej 2.

Szlak haftowany na poduszki serwety i t. p.

Rycina Nr 23 w Blu. Nr 30.

Przerobiwszy szlak na tle z brązowego jedwabiu, przerabianego takąż przędzą z wrabianymi deseniami, którego figury ozdobione krzyżowo porozpinanymi nitkami, jasno-niebieskiego jedwabiu i kremowym jedwabnym sznurkiem. Małe gwiazdki wykonane są żółtym jedwabiem, a arabskie linie odznaczone są drobnymi czerwono-brunatnymi perełkami i brązową przędzą.

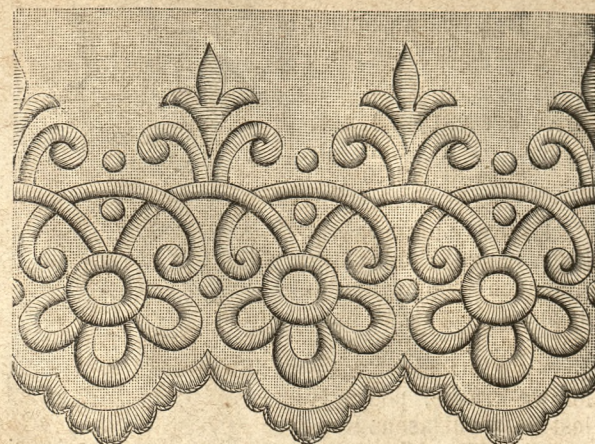
Dwa szlaki do serwet i t. p.

Rycina Nr 24 i 25 w Blu. Nr 30.

Szlaki te można albo pojedynczo, albo razem z sobą złączone zastosowywać i robić je na żółtawej kanwie „Cablé“, w pasy naprzemian idące z 11 cent. szerokiej kanwy i 4 cent. cerokich ściśłych pasków w różnokolorowy deseń, ozdobionych 1 i pół cent. szerokimi wrabianymi ażurowymi szlaczkami. Szerokie pasy podług ryc. 25, wyhaftować różnokolorową grubą brylantowaną przędzą, sznelą i złotym sznurkiem, wąskie pasy haftować odpowiednio do ryciny 21, ciemnoniebieską brokatelową przędzą i oliwkową sznelą. Takąż sznelą otoczyć ażurowe szlaczki i ozdobić je długimi ściegami, brązową brylantowaną przędzą i złotą nitką. Na szeroki szlak robić najpierw, z uwagą na rycinę, zębate otoczenie, ukośnych kwadratów, niebieskawo-zielonką sznelą, przejmując naprzemian 2 do 5 nitek na wysokość w odstępach 1 nitki i zapelnąć następnie kwadraty, naprzemian małymi, złotą nitką ozdobionymi wzorami tła z brązowych nici, albo długimi ściegami, tegoż koloru brylantowaną przędzą. Te ostatnie wyszyć w końcu złotą nitką i niebieskawo-zieloną sznelą i łączyć wypełnione tło kwadratów kilkoraką nitką oliwkowej brylantowanej przędzy, którą przymoco-



Nr 15. Ubranie dla chłopczyka od 7 do 9 lat. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 53—59.



Nr 14. Szlak do bielizny białym haftem.

wać przejmowanymi ściegami, złotą nitką. Poza to jeszcze tło wyszyć jasnoniebieską brylantowaną przędzą, poprzecznymi i podłużnymi ściegami, zajmując 1 ściegiem 3 nitki tła. Wykonać w końcu smyrneńskie ściegi oliwkową sznelą, zajmując na każdy z nich 6 nitek tła w poprzek i tyleż w podłuż.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 30.

Koronkę robić świecą przędzą Nr 50, szydełkiem, na łańcuszku odpowiednio długim do długości koronki, jak następuje: Kolej 1 ciągle naprzemian: 5 ścis. oczek w następne 5 ocz., 8 pow. ocz., 8 ocz. ominąć. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowe z następnych 5 o. ścis., 15 słup. w następne 8 pow. ocz. Kolej 3: * 1 słup. w 3 z następnych 15 słup., † 1 pow. ocz., 1 pikot (to jest: 5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w 1 z tychże) 1 pow. ocz., 1 słup. w 3 ocz., od † 2 razy powtórzyć, jednak przy pierwszym powtórzeniu robić słup. w 4 ocz., wtedy od * powtórzyć. Kolej 4: Pod drugiej stronie łańcuszka zacząć, jak 2 kolej. Kolej 5: * 1 ścis. ocz. w 3 z następnych 15 słup. poprzedniej kolej, 2 razy naprzemian: 5 pow. ocz. 1 ścis. ocz. w 5 słup. wtedy 5 pow. ocz. i od * powtarzać. Kolej 6 ciągle naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowe z następnych 5 pow. ocz., 5 pow. ocz. Kolej 7 jak poprzednia. Kolej 8 ciągle naprzemian: 1 ścis. oczko w środkowe z następnych 5 pow. ocz., 3 pow. ocz. Kolej 9 ciągle naprzemian: 1 słup. w drugie ocz., 1 pow. oczko.

Dwa desenie na ściereczki gospodarskie.

Rycina Nr 3 i 4.

Rycina 3 przedstawia desenie właściwy na narożnik ściereczki do wycierania filiżanek, wykonany jest kolorową bawełną gałzkowym ściegiem. Wzór ryciny 4 wykonany jest ściegiem łańcuszkowym może służyć na ściereczkę do kurzu. Oba dese-



Nr 16. Suknia z gładkiego i w deseń materiału. Opis odwr. str. tabl.

Nr 17. Suknia z gładkiego i w pasy materiału. Opis pierw. str. tabl.

niki mogą być wykonane ścięciem maszynowym.

Dwa krawaty męskie.

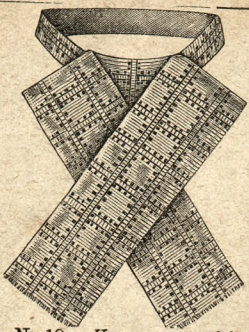
Rycina Nr 18 i 19.

Krawaty na sprężynkach, mogące służyć do stojących i do wykładanych kołnierzyków. Krawat ryc. 19 z kremowego repsu „ottoman“ w kolorową kratkę, podszyty jest białym atlasem. Krawat ryc. 20 z atlasu stalowego w prążki, podszyty kremowym atlasem, zaopatrzony u dołu w sprężynkę do wykładanych u góry w oszewkę do stojących kołnierzyków.

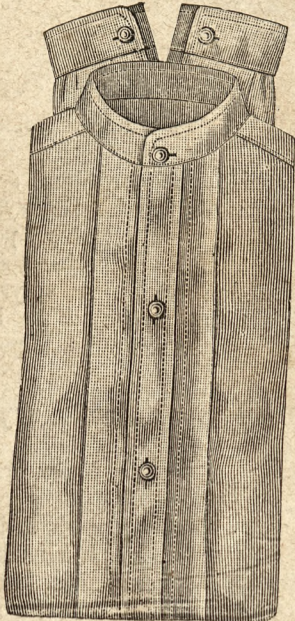
Chustki męskie od nosa.

Rycina Nr 20—22.

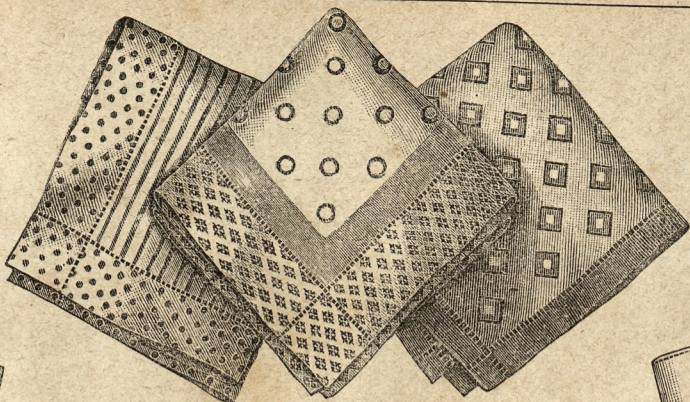
Batystowa chustka do nosa ryc. 21, w niebieskie i białe paski, zakończona jest obrębką 6 c. szerokim z batystu białego w pasowe kropki. Rycina 22 przedstawia batystową chustkę białą, w szafirowe koła, z różowym szlakiem, zakończoną obrębką z batystu białego w szafirowy deseń. Rycina 23 przedstawia chustkę białą batystową w drukowany różowy rzucik, zakończoną obrębką z niebieskiego batystu.



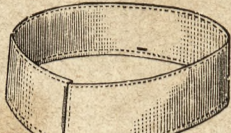
Nr 18. Krawat męski.



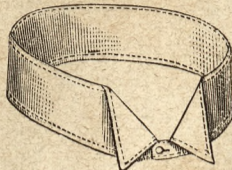
Nr 23. Koszula męska z surowego jedwabiu. Krój i opis pier. str. tabl. Nr III, fig. 19ab—23.



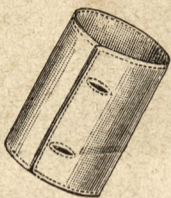
Nr 20—22. Chustki do nosa dla panów.



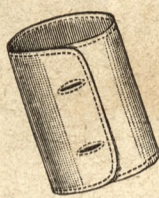
Nr 25. Kołnierzyk męski. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 62



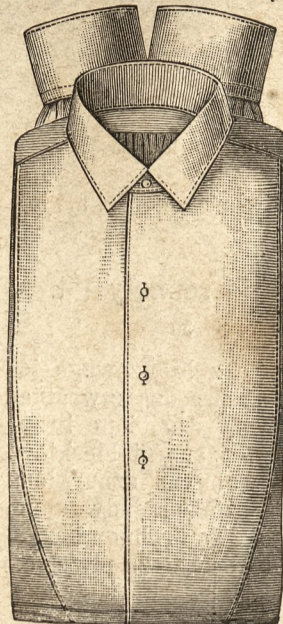
Nr 28. Kołnierzyk męski. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr X, fig. 62



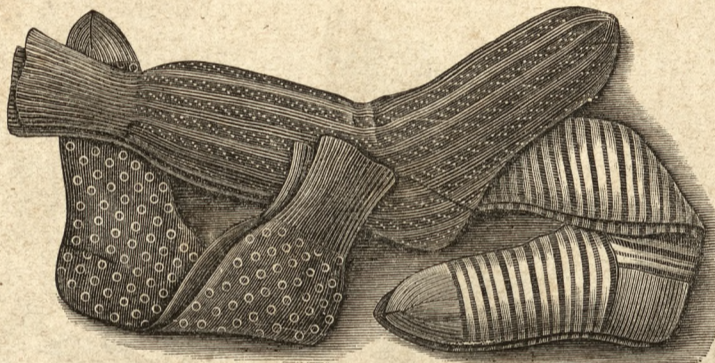
Nr 25. Mankiet męski. Opis odwr. str. tabl.



Nr 26. Mankiet męski. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 60.



Nr 24. Koszula dzienna męska. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 45—52.



Nr 29 do 31. Skarpetki kolorowe.

Skarpetki kolorowe.

Rycina Nr 29—31.

Rycina przedstawia 3 pary skarpetek, z których dwie pierwsze z szafirowych nici w żółty drukowany deseń, trzecia zaś w paseczki z pasowych, popielatych i szafirowych nici.

Przepisy gospodarskie.

Likier jarzębinowy.

W pół-garncowy gąsiorek wsypać większą połowę dojrzałej jarzębiny, włożyć laskę cynamonu, nalać to kwartą najlepszego spirytusu Nr 4 i zostawić w pokojowej temperaturze na dwa tygodnie. Po upływie tego czasu zrobić syrop z dwóch i pół funta cukru i kwarty wody, który zagotować, wyszumować i rozebrać precedzonym poprzednio do wazy, jarzębinowym spirytusem, niech postoi 24 godzin, wtedy przefiltrować przez watę, kładąc ją w lejek i czysty zachować do użytku za rok. Likier ten

nie tylko bardzo smaczny, ale i bardzo higieniczny.

Zupa poziomkowa na prędcie.

Mieszkając w mieście gdy się komu w lecie zachce zupy poziomkowej, niech posle do cukierni po pół porcji lodów poziomkowych, rozbierze je szklanką wolnej wody i rozbije z dwoma łyżkami kwaśnej śmietany — a mieć będzie wyborną zupę, do której podają się biszopciki.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z kluskami francuzkiemi.
2. Sztukamięsa z bismamelem opiekana.
3. Kalafiory.
4. Kurczęta.
5. Maliny z cukrem.

Tablica krojów dołączona do dzisiejszego numeru, służy też do 32 numeru Bluszczu.



Nr 32. Suknia z gładkiego i w pasy materyału. Opis odwr. str. tabl.



Nr 33. Suknia z batystu dla młodych osób. Opis odwr. str. tabl.